TYDZIEŃ

DZIŚ 24 STRONY

Nr 18 (42) ROK II

4. V. 1947

CENA 15 ZŁ



Na dzień 1-go i 3-go maja 1947 r.

WANDA MELCER

NAJWIĘKSZE ŚWIĘTO

INNI będą wam mówili o wielkich korzyściach ,jakie osiągnęliśmy przez dwa lata naszej niepodległości, i o tym, co nas jeszcze czeka, roztoczą przed wami świetne obrazy trzyletniego planu gospodarczego ,powiedzą, że nasz dochód narodowy ma być zwiększony w ciągu tego trzylecia z ośmiu na dwanaście miliardów złotych, a więc o jedną trzecią — i wiele innych ciekawych rzeczy. Przeczytacie to we wszystkich gazetach. Ale ja o tym mówić nie będę. Chciałabym tylko, żebyśmy sobie uprzytomnili, dlaczego dzień 1 Maja, to takie wielkie święto, dlaczego znaczenie tego święta od 1890 roku, kiedy to pierwszy raz było obchodzone, i rozmiary jego i ilość ludzi, jakie ono obejmie swoim zasięgiem, będzie ciągle wzrastać i wzrastać, dlaczego w tym roku większe jest ono, niż w roku ubiegłym, a w przyszłym roku większe będzie, niż tego roku i tak w nieskończoność.

Dlaczegóż to tak — spytacie może? A oto, dlaczego: dzień Pierwszy Maja to przede wszystkim święto pracy i święto jedności. Dzień roboczy robotnika trwał kilkanaście godzin, na strajki odpowiadano lokautami, opornych gnano pałkami, rodziny poszukiwanych „zbrodniarzy pracy” kryły się po lasach, żywiąc się korą drzewną — i tak było na całym świecie. Nie dla Polaków carskie rządy wymyśliły „posiclenie”, syberyjskie kopalnie i przykucie do taczki za nogę — były to niezawodne w ich mniemaniu sposoby, jakimi rządzący obchodzili się z własnym rządzonym narodem. Kopalnie węgla w Ameryce przypominały hitlerowski obóz koncentracyjny: wokoło druty kolczaste, często naelektryzowane i uzbrojone pakowe na bramach. Pańszczyzna na nie swojej ziemi, ucisk kolonialny, to dalsze perspektywy tego ponurego obrazu, a krzywda i wyzysk, to jego ramy.

A tymczasem, któż wy i ja, któż, my wszyscy jesteśmy? My wszyscy jesteśmy ludzie pracujący, i nie ma między nami różnic. My wszyscy nie z majątków, nie z wyzysku żyjemy, tylko ot tak, z dnia na dzień, z tego, co wyrobimy własnymi rękami. Ta sprawa, to nasza sprawa. Więc owego 1890 roku — a właściwie na kilka miesięcy wcześniej, zarywając kawałkiem czasu roku minionego, zebrali się przedstawiciele owych wyzyskiwanych w Paryżu — a możecie sobie wyobrazić, jak trudno im przychodziły takie zjazdy, jak to z groszowych składek czerpali fundusze, jak ukrywali się i jak przejeżdżali granice. Zebrali się więc przedstawiciele rozmaitych narodów Europy i Ameryki i między innymi uchwałami powzięli decyzję, żeby rok rocznie świętować dzień 1 Maja jako święto robotnicze.

I tak to poszło! Ludzie spotkali się, a potem rozjechali się po całym świecie. I wszędzie, jak płomienie, zapalały się pierwszo majowe święta, i wszędzie, jak z płodnych nasion, zakwitały pierwszomajowe kwiaty. Od tego więc czasu, czyli od lat prawie sześćdziesięciu, nie minął rok, w którym by tego święta nie świętowano. Święci się trud i pracę każdego kraju i każdego narodu, święci się wielką solidarność robotniczą poprzez wszystkie granice, rozdzielające góry, rozdzielające rzeki, rozdzielające nienawiści. Ala dla nas, Polaków, ta praca i ta jedność ma jeszcze inne, oboczne znaczenie, takie, które my tylko w całej pełni potrafimy docenić i pojąć.

OTO w dniu tym nie tylko z całym światem pracy jesteśmy blizcy, ale nareszcie jesteśmy też blizcy sami ze sobą. Zbliżyły się ze sobą partie polityczne, zbliżyły się do partii i między sobą związki zawodowe, zbliżyli się do siebie i do całego narodu wszyscy bezpartyjni obywatele, zbliżyła się wieś do miasta i chłop do robotnika. Nie będziemy już rozmyślać nad tym, co nas dzieli, ale nad tym, co nas zespala i łączy. Cała nasza praca i cały wysiłek narodu pójdzie w kierunku scementowania tej jedności i zgody, a ludzie, którzy dotąd byli zbłąkani, wyszli z podziemi, żeby się też przyłożyć do tego dzieła.

A ci spragnieni nie przychodzą do siebie z próżnymi rękami, przeciwnie... Górnik polski przynosi na pierwszomajowe święto ogromny wkład swojej pracy: 125 procent przedwojennej produkcji węgla. Ciężka i ofiarna jest jego praca w wieczystych ciemnościach! Metalowiec polski wyprodukował w ciągu ostatniego roku dwanaście razy tyle wagonów towarowych, ile ich było przed wojną: będzie czym wozić nasz eksport, będzie czym wozić na wieś produkcję przędzalni i hut. Nie przytoczymy cyfr, którymi się chwali kolejarz polski, bo przenoszą one w sposób wprost niewiarygodny liczbę załadowanych w roku 1945 wagonów. Porty polskie osiągnęły ostatnio 9 milionów ton przeładunku. Robotnik warszawski wyremontował cztery i pół miliona metrów sześciennych budynków, uporządkował ulice, komunikację miejską, oddał nam do użytku gazownię i elektrownię. Chłop polski użyźnił i zaorał dwa i pół miliona hektarów odłogu. Nauczyciel polski użyźnił i zaorał 764 szkoły średnie ogólnokształcące, ma w swojej pieczy ogromną ilość szkół powszechnych, rzuca ziarno na siew w mózgi i serca. Kraj cały pokryła sieć świetlic i domów kultury, czego najlepszym dowodem są odbywające się obecnie eliminacje zespołów fabrycznych i ludowych. Spółdzielczość obejmuje nasze życie gospodarcze, pośrednicząc w wymianie między wsią i miastem.

KAŻDY z nas znalazł sobie jakieś miejsce w tym wielkim zespole, każdy z nas współdziała i dąży. Połączyli się ludzie, fachy i miasta. Parę dni temu wróciłam z Krakowa, gdzie, zaproszona, byłam na jedno z posiedzeń obchodu święta majowego. Nikogo tam nie brakło: byli przedstawiciele demokratycznych partyj, związków zawodowych, ugrupowań młodzieżowych i spółdzielczych. Widzę jeszcze przed sobą ich twarze: młode, przyjemne, zapalone ogniem własnych słów i blaskiem świątecznego już majowego słońca. Składnie i sprawnie manewrowali grupami pracujących w olbrzymim pochodzie, ważyli ulice, przesuwali place i skwery, rozmieszczali zespoły na tle prastarych Sukiennic, Mariackiego kościoła, Błoni. Zapalali i gasili wieczorem pochodnie, skinieniem ożywiali orkiestry, wyprowadzali na estradę mówców, kierowali spojrzenia i głowy.

I wtedy pomyślałam, że oto w całym kraju dzieje się w tej chwili to samo i że to samo dziać się będzie w całym kraju i we wszystkich miastach, w dzień Pierwszego Maja i że to samo dziać się będzie we wszystkich miastach i wśród wszystkich ludzi całego świata — i z tej myśli zaczęłam czerpać nowe siły i nowe nadzieje. I że to wiosna, że znowu wszystko zakwita, a stare rany zarastają młodą zielenią, i że nasze duchy spotkają się w tym dniu, zestrzelone „w jedno ognisko”, nieśmiertelna „Odo do Młodości” świata.

Więc święto tej pracy i dzień tej wielkiej jedności, to najpiękniejsze święto, które dane nam jest obchodzić.

Julian Tuwim

PIERWSZY MAJA

Mokrą czerwienią wzburzoną, wydętą,
W oknie otwartym chorągiew furkocze,
W czerwone Święto, w czerwone Święto
Dzień się roztopił w słonecznej patoce.

W ciepło niebieskie okna wycięto,
W pokojach snopy, złote pociski,
Luster i błysków śliskie umizgi,
Bucha z błękitu niebieskie Święto!

Światłem spienione oddycha piętro!
Oślepiające jarzą się dachy,
I milion światła w gorące Święto
W oknach zwierciadłem przewraca gmachy.

A wiatr się tarza po srebrnej wodzie,
Zartęcił blaskiem, rozchwiał obłoki:
Piętrzą się, łamią w słonecznej wodzie.
Szkło dzwoni w wodzie jasnogłębokiej!

Salwo promienna, Złotego Oka!
Bij w wodę, w dzwony, w dzwoniącą wodę!
Swobodo moja bardzo wysoka,
Skrzydłami uderz w pogodę!

Przewróć się w wietrze przez miasto mostem!
Furkotem blasku chorągwiej krasna!
Z Wisły do nieba, z wiatru do miasta,
Światłem radosnym wiosna i jasna,
Swobodo moja, swobodo własna.

W czerwień cię wpięto, w błękit zaklęto,
W wodę wdzwoniono, w piętra podjęto,
Szalej czerwona, niebieska, zielona,
W czerwone Święto, w niebieskie Święto,
W zielone Święto majowe!

Grzegorz Timofiejew

O SZTANDARZE KTÓRY PŁYNIE PONAD TRONY

Najbardziej popularna pieśń robotników w Polsce została napisana jeszcze w 1881 r.

Minęło 10 lat od upadku komuny paryskiej. Ale łopot czerwonych sztandarów płoszy sen z oczu lwowskich mieszczuchów. Krok idących na stracenie komunistów,, zakłóca pozorny spokój dnia. Melodia zbuntowanego Paryża, uskrzydlona bohaterstwem walki, jak Nike w boju osmalona w prochach wystrzału, stoi u boku młodego poety, Bolesława Czerwieńskiego.

Były to czasy gorzkie i wspaniałe. Ziemia na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu pachniała ciągle krwią i prochem, choć minęły lata od upadku Komuny. Nad mieJscem straceń rozrosły się i załamały gałęzie drzewa, jak płaczki żałobne opłakujące zgon najbliższych.

Ale szła wiosna. I wszędzie w upojnym gęstowiu nabrzmiewało kwiatem i łkaniem słowików. W oczach zakochanych dziewcząt jaśniała znów nadzieja, czysta jak omyty burzą błękit. Ku nowemu prowadziły kroki lat.

W Polsce wtedy jeszcze nie skrzypiały upiory szubienic. Ruch robotniczy rewolucyjny przeżywał swoje narodziny i wzrost. W Warszawie działał Waryński. We Lwowie śladami wielkiego Limanow-



skiego, młody poeta, Bolesław Czerwieński, dopiero kosztował owoców i uniesień socjalizmu. Kraj nie znał jeszcze późniejszych klęsk i dojrzałych doświadczeń, lecz porywał się ku socjalizmowi z całym uniesieniem i wiarą, cechującą każdy okres burzy i pionierstwa. I chociaż na zachodzie rozpływały się dymy paryskich barykad, chociaż gorzko pachniały kwiaty na grobach straconych rewolucjonistów, do Polski pieśń komunardów z 1871 roku przyszła nie jako śmiertelne memento, nie jako echo klęski, ale właśnie jako podnięta do walki i szaleńcze natchnienie.

Do melodii Komunardów paryskich Bolesław Czerwieński ułożył słowa. Pieśń powstała z tego francusko - polskiego braterstwa „Czerwony sztandar" stała się hymnem polskich robotników, płomiennym protestem przeciw niewoli, przeciw krzywdzie człowieka. Pieśń ta, przejęta przez Polską Partię Socjalistyczną jako hymn partii, rozkołysała serca robotnicze jak potężny dzwon, wzywający do buntu i ofiary. Gdziekolwiek toczyły się zmagania, na barykadach, w pochodach czy strajkach, za caratu czy w latach międzywojennych — „Czerwony sztandar" był uczuciową wiarą polskiego socjalizmu, sformułowaną poetycko nadzieją, że

„Porządek stary już się wali,
Żywotem dla nas jego zgon,
Będziemy wspólnie pracowali,
I wspólnym będzie pracy plon!"

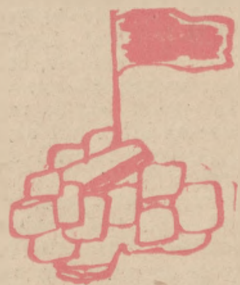
Prócz idealistycznie wyrażonego programu, zdradzającego umysł autora marzycielski i socjalistyczny, „Czerwony sztandar" przynosi słowa negacji, zawiera okrzyk buntu. Kolor czerwieni podpływa jak krew niewinnych ofiar do stóp katów, ciemiężycieli „dzieci nocy", jak powiada Czerwieński, mając na myśli wyzyskiwaczy, sługów caratu i sam carat. W tym sensie istotnie sztandar rewolucyjny płynął ponad trony i zmiatał upiorny cień władców.

W tym fragmencie pieśni tkwi niewątpliwie akcent międzynarodowy (jeszcze jeden dar komunardów!) walki bezwzględnej z absolutyzmem i tyraństwem. Ale w Polsce to hasło padało na grunt zdeptany kopytami kozackimi, mieszając się z okrzykiem „Niech żyje wolność" i „Precz z caratem"!

Dlatego bodziec międzynarodowy szybko „upatriotycznił się" w Polsce. I z inspiracji Komuny paryskiej poczęta pieśń przemieniła się w manifest polskiego ruchu, odradzającego ojczyznę przez socjalizm i niepodległość.

Jak czerwony sztandar, symbol międzynarodowy proletariacki, nasiąkł krwią ludu polskiego i stał się bliski robotniczemu sercu, podobnie i pieśń Czerwieńskiego urosła z polskimi wypadkami, z dziejami ludu polskiego — do wielkości naszych zmagań i do nuty hasłowej tych zmagań. Przez lat kilkadziesiąt, przechodząc z pokolenia w pokolenie jak płomień przez westalki strzeżony u ołtarzy starożytnych bogów — „Czerwony sztandar" stał się robotniczą świętością, wysokim natchnieniem w walce o Polskę i socjalizm.

A cóż sam twórca? Dlaczego tak mało wiemy o Czerwieńskim? Nie tekst sam, nie jego walory artystyczne (raczej słabe), ale wielkie wypadki historyczne, z którymi urósł „Czerwony sztandar", jak chmura wielka i groźna — przesłoniły postać człowieka. Nie wiem, czy wszyscy towarzysze wiedzą nawet, że „Czerwony sztandar" napisał Czerwieński. Bo ta pieśń wyzbyła się już autorstwa, odindywidualizowała się, że tak powiem, zbłądziła naprawdę „pod strzechy" (i jeszcze do suteryn), stała się własnością zbiorową, językiem żywych wzruszeń robotniczych, jego walk i nadziei.



Ale przyjrzyjmy się Czerwieńskiemu. Pochylona postać idealisty, czoło namarszczone i oczy jasne, patrzące z wiarą w świat. Skurcz serca (Czerwieński miał chorobę serca) przypomina o czyhającej śmierci i tym bardziej każe nicość przezwyciężać przez wielkość idei, w której ostaje się człowiek, jeżeli tej idei służy.

Czerwieński już jako student filozofii wchodzi do czynnego życia rewolucyjnego we Lwowie, pisze i działa. Powiedziałem, że łopot czerwonych sztandarów płoszy sen z oczu lwowskich mieszczuchów. Słowo „socjalista" jest straszakiem. Lwów w tych czasach dopiero budzi się do ruchu lewicowego, dopiero otrząsa się z gnuśnej niewoli i mieszczańskiej drzemki. Socjalizm Czerwieńskiego nie był jeszcze wyraźnie skonkretyzowany, raczej zwiastował burzę, aniżeli był jej piorunami. Czerwieński przez swój żywot i to, co pisze, reprezentuje wiarę w „lepsze jutro" poprzez socjalizm.

Gdy w r. 1879 Bolesław Limanowski przybywa do Lwowa i reorganizuje pismo „Praca" w organ socjalistyczny, Bolesław Czerwieński całą duszą przylgnął do niego. Zapał, energię działacza, talent poety zostają złożone na ołtarzu wspólnego dobra.

W łopocie czerwonego sztandaru pisze Czerwieński kilka książek. Tom poezji opiewa niedolę i krzywdę ludzi pracy. Poemat „Dwa widzenia" obrazuje stosunek pracy do kapitału. Inny — „Zgon Jana Hłaski" maluje cierpienia wygnańcze i zgon bojowników o wolność w mroźnym Sybirze. Na scenach krakowskiej i lwowskiej grany jest dramat „Nie wolnik". Wreszcie zbiór artykułów i komplety redagowanych pism „Ziarno" oraz „Śmigus" uzupełniają rozległą pracę Czerwieńskiego.

Z tego pokaźnego dorobku ocalała tylko pieśń o sztandarze, który płynie ponad trony. Ta przetrwała autora i dożyła dzisiejszych czasów. Jest po dziś żywa, jak barwa sztandaru, o którym się śpiewa, że jest czerwony „bo na nim robotnicza krew".

tak i nie

Ta sama pieśń, choć inna wieś



Jak donosi paryski organ socjal. „Populaire" niedawno jeden z oddziałów francuskiej Legii Cudzoziemskiej w czasie przemarszu przez ulice Saigonu (Indochiny) śpiewał Horst - Wessel - Lied". Jak się okazało, oddział ten składał się z byłych SS-owców, którzy obecnie zaciągnęli się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej i jest używany do walk z narodowym ruchem wyzwoleńczym Indochin.

Jak widzimy, dzielni esesmani znaleźli odpowiednie dla siebie zajęcie i dość daleki zakątek świata, by przetrwać ciężkie chwile do czasu, gdy znów będą mogli z „Horst - Wessel - Lied" na ustach wrócić do Deutschlandu.

Umarli nie mają racji

PREZYDENT ROOSEVELT nie żywił zaufania do generała de Gaulle'a. Przy wielu okazjach, a w szczególności przy zajęciu Afryki Północnej i w czasie inwazji dochodziło do ostrych starć między de Gaulle'm a osobami, które wykonywały dyrektywy zmarłego prezydenta. Roosevelt nie godził się bowiem nigdy na bardzo „autorytatywne" metody polityczne de Gaulle'a.

Jak wiadomo, prezydent Truman w swym pierwszym orędziu po objęciu swego wysokiego urzędu zapewnił naród amerykański i cały świat,że pragnie wiernie kontynuować politykę swego wielkiego poprzednika. Od tego czasu upłynęły dwa lata. Obecnie ambasador amerykański Mr. Caffery jest bardzo częstym towarzyszem gen de Gaulle'a. Czyżby to miała być jedynie spóźniona osłoda za przykrości z czasów wojny?

Biały mikado jest zadowolony

NIEDAWNO „biały mikado" generał Mc Arthur oświadczył, że dzieło demilitaryzacji i demokratyzacji Japonii zostało ukończone i że pora już zawrzeć traktat pokojowy z Japonią.

W istocie sytuacja nie jest bynajmniej zadowalająca. Liczba bezrobotnych wynosi 5 i pół miliona. Wielki przemysł japoński nie został zdemontowany, odszkodowania wojenne nie zostały ściągnięte, a demokratyzacja istnieje bądź na papierze, bądź w wyobraźni doradców Mc Arthura.

Angielscy komentatorzy są zdania, że Mc Arthur chciałby pozbyć się jak najprędzej pozostałych członków Rady Kontroli Japonii (Rosjan, Anglików, Australijczyków i Chińczyków) i przekształcić Japonię w kolonię Stanów Zjednoczonych.

Stajenny komentarz radio-generała



Jak donosi angielski „Sunday Chronicle", wybitni generałowie i admirałowie hitlerowscy w brytyjskiej niewoli w Walii, zatrudnieni są w bliskości swych obozów czyszczeniem stajni u gospodarzy wiejskich.

Jednym z owych „robotników rolnych" jest znany b. generalny radiokomentator hitlerowski, radio - generał Dittmar, który pewnemu angielskiemu dziennikarzowi oświadczył: „Nasza praca jest wcale niezła. Nie możemy narzekać".

Żywcem pogrzebany

PRZED tygodniem w Bombayu odmurowano grób, w którym przez 24 godziny przebywał indyjski jog Ramanand Swami.

Ramanand Swami przybył z Ashramu koło Nan Sarovar w Himalajach w celu zebrania funduszów na propagandę wiedzy i ćwiczeń jogów. Dla wykazania siły jogów i panowania ducha nad ciałem kazał się zagrzebać na 24 godziny. Przy odgrzebywaniu uczniowie Swami'ego rozbili najpierw płytę cementową, która na grobie jogów spoczywała, a potem uchylili jedną z desek, aby wpuścić powietrze do krypty, gdyż w czasie swojego pobytu pod ziemią Swami oczywiście nie mógł oddychać. Po odkryciu grobu jog spoczywał w tej samej postawie, w jakiej go pogrzebano. Nogi miał skrzyżowane, ramiona na kolanach a oczy zamknięte. 10 tysięcy ludzi oglądało wyniesienie go na platformę.

Po pięciu minutach jeden z uczniów delikatnie zaczął pocierać jego głowę, a drugi puls i Swami zaczął okazywać oznaki życia. Doktór Phiroze C. Bharucha znany specjalista chorób serca w Bombayu oświadczył, że wiedza medyczna nie jest w stanie udzielić wyjaśnienia eksperymentu jogi, gdyż zwykły człowiek w przeciągu trzech godzin powinien był zginąć.

Swami obiecał zademonstrować niedługo swoje tajemne siły kolegium medycznemu w Bombayu.

Kogo wsadza się w Niemczech do domu wariatów



Jak donosi berliński dziennik „Vorwärts", w Gummersbach, w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec, niejaka Klaes oskarżyła b. członka NSDAP Petersona o to, że był on w czasie okupacji prokuratorem w Łodzi i że ma na sumieniu wiele wyroków śmierci wydanych na Polaków.

W dniu następnym zjawił się u Klaes żandarm i grożąc jej pistoletem, żądał, by odwołała oskarżenie. Jednak Klaes odmówiła. W trzy dni później została ona porwana z domu i umieszczona... w domu obłąkanych jako chora.

Gdy jednak udało się jej stamtąd wydostać, Peterson oskarżył ją o złożenie fałszywych zeznań. Sąd jednak wobec niezbitych dowodów, przedstawionych przez Klaes, zmuszony był ją uwolnić.

Niemniej jednak Peterson nie tylko, że nie został pociągnięty do odpowiedzialności, ale nadal urzęduje jako prokurator w Gummersbach.

NASZA OKŁADKA



1-SZY MAJ

Rys. Ozerwiński

Ostrze na ostrze

SŁOWO ROZPASANE

Święto pracy, święto oświaty, święto oręża — dni pierwszy, trzeci i dziewiąty maja — trylogia, której treścią jest walka i myśl postępowa.

Dobrze się stało, że w obchodach trzeciomajowych jako pierwszoplanowy motyw brzmi słowo „Oświata". Oświata — podstawa wszelkiej idei postępu i reformy, idei przesycającej atmosferę, w której zrodziła się trzeciomajowa konstytucja.

W tym dniu powinni zdawać sprawozdanie, egzamin dojrzałości wszyscy ci, których działalność koncentruje się w tej dziedzinie. I to nie tylko ławki szkolne i podręczniki, nie tylko profesorów i ilość uczniów powinniśmy liczyć w tym dniu. Powinniśmy zwiedzić także pracownie pomocnicze oświaty: półki księgarskie i redakcje pism, teatr i kino, muzea i świetlice.

W niektórych tych dziedzinach od pewnego czasu czynione są próby obrachunku sumienia. Bilans wypada rozmaicie. Podjęto analizę i dyskusję na temat polityki wydawniczej. Okazało się, iż niezbyt dobrze dzieje się w państwie książki. Wiele śmieci w braku odpowiedniego „Zakładu Oczyszczania" należałoby wyprzątnąć drogą jakiejś akcji obywatelskiej.

To samo odnosi się do prasy. Wiele się pisze i mówi na temat roli prasy w życiu umysłowym narodu, o tym, że pismo czy gazeta nie tylko informuje, nie tylko bawi, ale uczy, ale wychowuje. Po przejrzeniu niektórych wydawnictw — niestety, wielu wydawnictw — trudno byłoby dojść do tego wniosku. Uczy?... Wychowuje?...

Dwa są aspekty tego zagadnienia. Ilość i jakość. Użyliśmy kiedyś w jednym z artykułów „Tygodnia" ostrego słowa w odniesieniu do ilości pism ukazujących się obecnie w Polsce: bezwstydny nadmiar. Tak jest. Mamy w tej chwili według ostatnich danych 669 różnego rodzaju pism. Nie byłoby to nawet źle, gdyby nie... statystyka nakładów. Pozostawiając na boku pisma specjalne, fachowe, sięgnijmy do gazet. Niektóre nakłady: tysiąc egzemplarzy, paręset zaledwie.

Każdy Chełmek, Ostrów, każdy Kaczy Dołek, w którym znajdzie się posiadacz jakiego takiego pióra czy ołówka, jaka taka rozklekotana drukarnia, z miejsca przystępuje do wydawania pisma. Regionalna ambicja. Rzecz jasna, o równowadze finansowej takich pism nie ma mowy. Marnotrawstwo pod każdym względem. Mniej pism — lepiej robionych, lepiej kolportowanych — taki powinien być program na najbliższy okres.

Sprawa druga — jakość. Ośmielone pierwszymi udanymi występami, zaczyna niebezpiecznie szaleć słowo rozpasane. Mam na myśli przede wszystkim pisma popołudniowe, przeznaczone dla mas czytelniczych. Jakie powinny one być? Popularne — tak. Zabawne i interesujące — zgoda. Ale czyste.

Tymczasem niektóre „Expressy" i „Echa" siłą rozpędu i ciężarem rosnącego nakładu coraz bardziej zjeżdżają na pornograficzny poziom przedwojennych, smutnej pamięci, brukowców. Słowa brudne, słowa rozpasane. Sadystyczne mordy, niewybredna erotyka, nieostrożna plotka, głupia bzdura, językowe niechlujstwo.

Chcielibyśmy wiedzieć, co zamierza przedsięwziąć w tej palącej sprawie Urząd Kontroli Prasy? Czemu nie zabiera głosu Związek Dziennikarzy?

Całe zagadnienie wymaga poważnej, publicznej dyskusji, ostrych, mądrych środków zaradczych. Tymczasem — tych kilka wyrzutów, parę słów w sprawie rachunku sumienia prasy na marginesie Święta Oświaty.

AVIS

Propaganda niewoli

JAK donosi amerykańska prasa, w Ohio w USA, zmarł w wieku 120 lat murzyn John Watson, który był najstarszym niewolnikiem przywiezionym z Zachodniej Afryki do Ameryki.

W roku 1837 Watson jako dziesięcioletni chłopak został sprzedany pewnemu plantatorowi tytoniowemu, i 25 lat pracował na plantacjach jako niewolnik.

Charakterystycznym jednak dla mentalności pewnej części prasy amerykańskiej jest to, że zaopatrzyła ona tę wiadomość w komentarz, że Watson miał ponoć przed śmiercią oświadczyć, że okres niewoli był dla niego „najpiękniejszym okresem jego życia".

Rum i Koka-Kola

WRAZ z piosenką amerykańską przywędrowała również do ojczyzny rumu, wyspy Trinidad, przereklamowana Koka - Kola, bezalkoholowy napój bardzo rozpowszechniony w Ameryce. Przywędrowała wraz z Amerykanami, gdy na początku wojny Wielka Brytania wydzierżawiła Stanom Zjednoczonym część wyspy Trinidad dla wybudowania baz lotniczych. Rozpoczął się okres nadzwyczajnej koniunktury dla czarnych mieszkańców wyspy. Zarobki wzrosły, podniosły się jednak ceny i ogólny standart życiowy. Gdy wojna się skończyła, praca na lotniskach ustała i skończyły się zarobki. Pozostały jedynie wysokie ceny. Murzyni Trinidadu nie mogą dziś kupować ani rodzimego rumu ani importowanej Koka-Koli.

Pod wodzą leadera murzyńskiej organizacji robotniczej Uriah Butlera ludność miejscowa przysparza administracji brytyjskiej te same kłopoty, jakie na większą skalę sprawił dr Soekarno Holendrom na wyspach indonezyjskich.

tak i nie STRONA 6

Zbigniew Mitzner

PIERWSZY i TRZECI

NIE tylko kalendarzowo sprzęgły się ze sobą w historii Polski te dwie daty: Pierwszego i Trzeciego maja. Łączy je ze sobą nie tylko czasowa bliskość, ale także ich głęboki sens i treść najistotniejsza.

Konstytucja Trzeciego Maja była testamentem narodu, którego państwo umierało pod ciężarem własnych win i błędów i na skutek tragicznego splotu zewnętrznych okoliczności. Była to ostatnia wola, piękna i szlachetna. Dzieje dwustu lat poprzedzających Ustawę Majową stanowiłoby ponury obraz, gdyby nie to, co się w „Kuźni" kołłątajowskiej wykuło i co w drodze patriotycznego zamachu stanu zostało uchwalone. Naprzekór tamtym dwóm wiekom zabłysnęła wielkość i mądrość narodu, który umiał się zdobyć, choć zbyt późno, na „rewolucję łagodną" i przekazać pokoleniom wielkie tradycje zarysowanego, nowoczesnego ustroju państwowego i drogowskazy społecznej reformy.

WIELOKROTNIE potem w 1794-ym, 1830-ym i 1863-im porywano się do walki o odzyskanie lekkomyślnie utraconej niepodległości. Ale tylko klęska była udziałem Kościuszki Kilińskiego, Piotra Wysockiego i Maurycego Mochnackiego, Padlewskiego i Traugutta. Powierzchownym byłoby twierdzić, że tylko błędy strategiczne, przemoc wroga i obojętność Europy spowodowały, iż wszystkie te porywy były daremne.

Niewątpliwie — tragiczny dla Polski okres rozbiorów związany był z moralnym i politycznym upadkiem warstwy, która nią rządziła, ze sromotnym upadkiem szlachty. Podobnie padając w nicość historii, szlachta i możnowładztwo we Francji nie pociągnęły za sobą własnego kraju. Stało się jednak dlatego, że tam dorosła już i dojrzała nowa i młoda warstwa, która w porę pochwyciła władzę, nie dopuszczając do katastrofy. Tragedią Polski zaś było to, że z rąk upadającej szlachty nie miał kto przejąć idei niepodległego państwa. Nie mogło tego uczynić słabe i nieliczne mieszczaństwo, ani tym bardziej tkwiące w niewolnictwie chłopstwo.

Stąd też Konstytucja Majowa pozostała tylko gestem, aktem dobrej woli garstki najlepszych i najuczciwszych, poza którymi jednak nie stał murem cały lud szlachecki. Stąd też wszystkie następne porywy zbrojne nie były ani porywami całej szlachty, ani tym bardziej całego narodu. W rzeczywistości były to spiski i zmowy drobnych grup czy grupek, myślących rzetelnie, odważnych i zapalczywych, których czyn skazany był na klęskę i samotność.

TRZEBA było dopiero wielu dziesiątków lat, trzeba było, by na skutek przemian gospodarczych i społecznych, na skutek rozwoju przemysłu i miast zrodziła się nowa klasa proletariatu fabrycznego, by idea odzyskania niepodległości zdobyła nowych bojowników. Już nie tak osamotnionych jak Kordian, zneurastenizowanych i jak on shamletyzowanych, ale tak mocno tkwiących w swojej klasie i w swoim narodzie jak Baron i Okrzeja. Trzeba było, by po dziesiątkach lat walk, po rewolucjach daremnych i po rewolucjach zwycięskich obalona została zasada „świętego przymierza", absolutyzmu i reakcji. Trzeba było, aby na to miejsce w międzynarodowym porządku europejskim realizować się poczęła nowa zasada polityczna, dyktująca historię naszym dniom. Zasada walki o wyzwolenie społeczne, zasada walki o wyzwolenie narodowe, zasada walki i solidarności międzynarodowej ludzi pracy. I nie jest przypadkiem, że swe istnienie pierwsza Międzynarodówka Socjalistyczna zainaugurowała uchwałą, stawiającą zasadę konieczności odbudowania Polski niepodległej.

NIC dziwnego, iż dzień 1 Maja w Polsce stał się od początku demonstracją zarówno socjalistyczną, jak i patriotyczną. Od tego czasu bowiem na miejsce upadłej szlachty, na miejsce mieszczaństwa, pogrążonego przeważnie w płytkim nurcie swych interesów, sprawę niepodległości Polski bierze w swoje ręce klasa robotnicza, a wraz z nią potem uzyskujący zwolna świadomość narodową — chłop polski. Oni to, dążąc do realizacji swych postulatów ekonomicznych, podejmują przerwane dzieło twórców Konstytucji Majowej, nadając jej żywą i nowoczesną treść.

W ten sposób dokonało się odrodzenie narodu, co pociągnęło za sobą w sposób nieunikniony odrodzenie państwa. Jeśli okres międzywojennego dwudziestolecia traktować będziemy jako jedną jeszcze próbę powrotu na scenę szlachetczyzny wspartej przez nowoczesne żywioły kapitalistyczne, to okres obecny zrozumiemy dobrze jako okres ostatecznego utrwalenia bytu narodowego poprzez reformy społeczne i poprzez upowszechnienie ideału niepodległości.

W zrozumieniu tych prawd leży zrozumienie znaczenia dzisiejszych świąt 1-go i 3-go Maja.

Borys Pasternak — Przełożył M. Jastrun

SZOPEN

Znów Szopen nie na łatwych przejściach,
Ale się uskrzydlając lotem,
Toruje z prawdopodobieństwa
Wyjście na prawość i prostotę

Podwórza ,płoty z przełazami,
Chaty w pakułach i dranicach,
Dwa klony, trzeci, nagle — za nim
Kajtarska wznosi się dzielnica.

Dzień cały klonów cień nad dziećmi,
Gdy my palimy lampy nocą,
I kiedy liście, jak serwetki,
Krusząc się dżdżem ognistym złocą.

Wtedy, na wskroś — białych piramid
Ostrzami przewierciwszy mroki,
Chwiejąc kasztanów namiotami,
Muzyka grzmi z otwartych okien.

Grzmi Szopen, z okien runął nagły,
A z dołu pod melodii gromy
Wznosząc kasztanów kandelabry,
Na gwiazdy patrzy wiek miniony.

Wahadłem gromad kołyszące,
Jak biją w rytm jego sonaty
Godziny prac, rozjezdnych nocy
I snów bez śmierci i fermaty!

Więc znowu spod akacji śniegu
Pod karet pęd i w gwar Paryża?
Znów biec, potykać się jak w biegu
Życia trzęsący się dyliżans?

I znowu dźwięczeć, dzwonić, gonić,
Krwią tuczyć ciało, w krew przemieniać,
Znów rodzić płacz, lecz łez nie ronić,
I nie umierać, nie umierać?

Znów w noc wilgotną, w noc przejezdną
Malpostem jadąc z gości w gości
Podsłuchać liści pieśń szelestną,
Kół na cmentarzu szmer i kości.

Cudem powstrzymać pęd, zaciekłość
Krzykaczy, jak nagabywana
Kobieta, cofnąć się — zakrzepnąć
W ukrzyżowanych fortepianach?

W samoobronie w sto lat potem,
O białe zaczepiwszy kwiaty,
O płyty miast, o gwar wspólnoty
Strzaskać prawości biel skrzydlatej.

Znów? Fortepianu kwiatostany
Święcąc obrzędem pełnym żaru
Runąć stuleciem dziewiętnastym
Na stary kamień trotuaru.

tak i nie

Tak zginął Mussolini

WYKONAWCA wyroku śmierci na Mussolinim i Clarze Petacci został niedawno ujawniony. Jest nim 37-letni buchalter z zawodu Walter Audisio, który jako pułkownik Valerio był jednym z przywódców włoskiego ruchu podziemnego.

Wedle jego relacji egzekucja Mussoliniego miała następujący przebieg: w dniu 27 kwietnia 1945 pułk. Valerio otrzymał rozkaz wykonania wyroku śmierci na Mussolinim od „Ochotników Wolności" (włoski ruch podziemny). Po otrzymaniu rozkazu udał się do wiejskiego domu w miejscowości Giulino di Mezzadria koło Dongo, w którym przebywał Mussolini wraz z Clarą Petacci. Gdy wszedł do domu — Mussolini zapytał ze strachem: „Kto tam?". Płk. Valerio oświadczył, że przychodzi go uwolnić. Mussolini uwierzył i przybierając ton „duce" powiedział pułkownikowi: „Ofiaruję panu za to imperium". Pierwszy wyszedł z pokoju a Clara Petacci za nim.

Wsiadłszy do samochodu Mussolini włożył kapelusz, gdyż obawiał się, że go rozpoznają po łysinie. Gdy przybyto na miejsce egzekucji, Mussolini został postawiony pod murem, a pułkownik Valerio odczytał mu wyrok śmierci wydany przez dowództwo partyzanckie ,a następnie pociągnął za cyngiel pistoletu maszynowego. Pistolet maszynowy się zaciął. Również pistolet normalny, z którego usiłował Valerio zastrzelić Mussoliniego odmówił posłuszeństwa. Wówczas od jednego z partyzantów wziął Valerio pistolet maszynowy systemu „Mas Mitra", i zmierzył do Mussoliniego.

Mussolini zaczął krzyczeć: „Ma, ma, ma, nie, panie pułkowniku", a Clara Petacci zasłoniła Mussoliniego. Pułkownik Valerio kazał jej się usunąć, gdyż zostanie rozstrzelana razem z nim, mimo, iż z początku nie miał takiego zamiaru. Następnie oddał Valerio pięć strzałów, od których zginęli i Mussolini i Clara Petacci. Mussolini umarł jak tchórz. Trzęsąc się cały ze strachu i nie powiedziawszy ani słowa do Petacci, ani nie zrobiwszy żadnego ruchu w celu ocalenia jej.

Dziennik włóczęgów

WYCHODZI oczywiście w Ameryce w objętości 24 stron druku i ma nakład 90.00 egzemplarzy. Redagują go i sprzedają włóczędzy. Ta impreza typowo amerykańska rozpoczęła się skromnie przed kilku laty. „Hobo News" ukazało się w 1000 egzemplarzy na 4 stronach i zostało rozchwytane w ciągu kilku godzin. Dziś jest to solidna impreza z kontem bankowym. Treść pisma poświęcona jest wyłącznie sprawom interesującym włóczęgów, a więc np. opisowi miast, w których „dają" i w których „nie dają" lub wskazówkom jak najlepiej i bez przykrości przejechać darmo z San Francisco do Nowego Yorku.

Aby pozostać wiernym tradycji, pismo ukazuje się nieregularnie, chociaż nie ma żadnych przeszkód, aby wyszło punktualnie z maszyny rotacyjnej.

Cudzołóstwo z próbówką

ANGLICY interesują się ostatnio sprawą sztucznego zapłodnienia. Rada moralności publicznej zapowiedziała ogłoszenie wielkiej ankiety, w której wezmą udział lekarze, adwokaci, psychiatrzy i duchowni. Celem ankiety ma być zaznajomienie szerokiej publiczności z tym problemem.

Zdaniem byłego ministra zdrowia Mr. Willinka sztuczne zapłodnienie jest cudzołóstwem nawet w wypadku, gdy wszyscy zainteresowani, a przede wszystkim mąż wyrazili na to zgodę.

Lunatyk

AMERYKA przeżywa okres awanturniczych projektów. Po psychozie bomby atomowej przyszła kolej na bazy na biegunie północnym i południowym. Ostatnio coraz częściej mowa o wyprawie rakietowej na księżyc.

Wszystkie jednak rekordy bije wystąpienie niejakiego kapitana J. R. Randolpha, który domaga się, aby Stany Zjednoczone okupowały Marsa i inne planety. Uzasadnienie: w czasie drugiej wojny światowej okazało się, że Stany Zjednoczone muszą sobie zabezpieczyć bazy strategiczne w różnych częściach świata. Rozwój techniki każe przypuszczać, że gdyby doszło do trzeciej wojny światowej, to przeprowadzenie ataku z Marsa umożliwiłoby całkowite zaskoczenie nieprzyjaciela.

Randolph jest nieszkodliwym wariatem, ale jak nazwać wydawców, którzy zamieszczają takie brednie pod sensacyjnymi nagłówkami?

Demokratyczny ostracyzm

AMERYKA posiada największy klub sprawozdawców parlamentarnych, który liczy ok. 700 członków, lecz nie ma wśród nich ani jednego Murzyna. Nie znaczy to bynajmniej, by Murzyni amerykańscy posiadający dobrze prosperującą własną prasę nie chcieli mieć własnych sprawozdawców w gmachu Kongresu. Ale sprawami galerii dziennikarskiej rządzi komitet, wyłoniony przez sprawozdawców. Ostatnio gdy korespondent murzyński Lautier złożył prośbę o dopuszczenie go, komitet czterema głosami przeciwko jednemu uchwalił, że Lautier nie reprezentuje poważnego odłamu prasy, aby przyznać mu miejsce w loży prasowej.

Potomstwo Bormanna

BORMANN i jego żona dotychczas zajmują opinię światową. Jak czytaliśmy, jedna z pierwszych paczek wysłanych z Ameryki dla Niemców była przeznaczona dla żony Bormanna. Ostatnio pani Ebbel, ciotka Bormanna, podała do wiadomości, że żona Bormanna zmarła w marcu 1946 roku na raka w wiosce Brunech koło Bolcano w północnych Włoszech. Bormannowa schroniła się w tej wiosce w kwietniu 1945 wraz z dziesięciorgiem swych dzieci. Ciotka Bormanna mówi, że małżeństwo ich było szczęśliwe, mieli 10 dzieci, 5 dziewcząt i 5 chłopców. Pani Ebbel twierdzi, iż wierzy, że Bormann zginął w Berlinie.

Lepiej niż w domu

HANS EVALT, szofer z Hamburga doszedł do przekonania, że lepiej być „przestępcą wojennym" i stanąć przed Trybunałem w tym charakterze, niż żyć z żoną. Evalt twierdzi, że jego [illegible]-letnie pożycie małżeńskie jest piekłem. Evalt udał się do brytyjskiego kontr-wywiadu i podał się za SS obergruppenfuhrera. Ponieważ stopień ten odpowiada generałowi brygady został z wszelkimi honorami odstawiony do obozu dla internowanych w Neuegamme. W kwestionariuszu podał długi opis swej hańby nazistowskiej, mimo, że nigdy do partii nie należał. Nie długo to jednak trwało, gdyż wywiad angielski stwierdził nieprawdziwość jego zeznań. Został wyrzucony z obozu, ale mimo wszystko dostał się do więzienia za fałszywe wypełnienie kwestionariusza.

Dlaczego tyjemy?

DR. FRED, lekarz z San Francisco, doszedł do ciekawych wniosków przy leczeniu swych pacjentów na nadmiar wagi. Oświadczył, że bardzo często ludzie mają nadmierny apetyt wskutek zmartwień, strachu, uczucia niepewności itp.

Tego rodzaju stan psychiczny powoduje dziecinne zachowanie się. Dzieci, jak wiadomo, biorą wszystko do ust, a starsi zastępują to przez ciągłe jedzenie. Często przyczyną nadmiernego jedzenia jest wychowanie w rodzinie, w której się dużo je. Również brak żywności na skutek warunków zewnętrznych jak nędza powoduje sztuczny głód. Ludzie pracujący w restauracjach i cukierniach również mają tendencję do nadmiernego jedzenia. Dr. Freed twierdzi, że nadmierne jedzenie powoduje olbrzymie szkody dla zdrowia. Każdy człowiek winien stwierdzić, ile mu kalorii potrzeba, i stosować się do tego. Jakiejś reguły stałej na ilość kalorii ustalić nie można, gdyż niektórym wystarcza 1500 kal. a niektórzy umarliby z głodu przy tej ilości pożywienia.

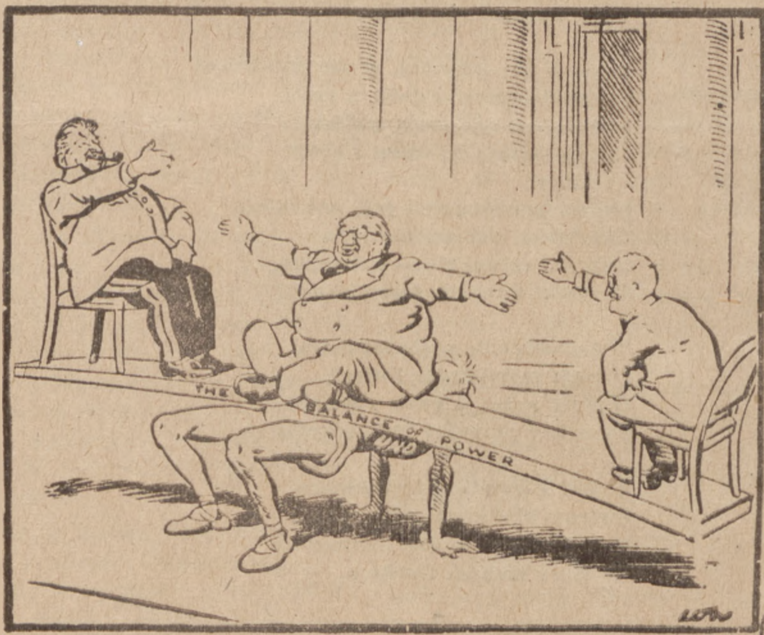
Wezuwiusz zmalał

MOże nie wszystkim wiadomo, że wysokość Wezuwiusza zmieniła się. Przed wybuchem w roku 1906 wysokość Wezuwiusza wynosiła 1425 m. Obecnie wynosi 1223 m.

Ślub przez telefon

Brytyjskie władze prawne orzekły, że małżeństwa zawarte telefonicznie między żołnierzami amerykańskimi w Ameryce a kobietami brytyjskimi są ważne w Wielkiej Brytanii, jeżeli przy zawarciu małżeństwa przez telefon narzeczona brytyjska była reprezentowana w Ameryce. Orzeczenie powyższe jest ważne, a wydał je londyński sąd rozwodowy w sprawie kobiety urodzonej w Niemczech, która zawarła małżeństwo przez telefon z obywatelem argentyńskim. Żona zażądała unieważnienia małżeństwa, gdyż prawo angielskie nie uznawało dotychczas tego rodzaju zawarcia ślubu. Sąd odrzucił skargę, uzasadniając właśnie, że ponieważ narzeczona była reprezentowana w Argentynie przy telefonie w czasie zawarcia ślubu, a ślub ten jest ważny w Argentynie, nie ma powodu, aby go nie uznawać w Anglii.

SYTUACJA MIĘDZYNARODOWA W OCZACH ANGLIKÓW



Tak widzi ją znakomity karykaturzysta Low w „Manchester Guardian"

Telefon do zaświatów

JAK wiadomo, spirytyzm jest bardzo szeroko rozpowszechniony w Anglii. Założyciel i obecny przewodniczący Angielskiego Towarzystwa Metafizycznego Williamson ogłosił, że niedługo będzie można podnieść słuchawkę telefoniczną i porozmawiać sobie z duchami zmarłych.

Pan Williamson, który na razie pracuje za pomocą żyjącego medium, oświadczył, że duchy wynalazcy telefonu Bella i Marconi'ego przyjęły z zachwytem ten pomysł i za pomocą medium podały mu rady techniczne w ilości stu tysięcy słów, które mają ułatwić telefoniczną komunikację z zaświatem. Marconi i Bell są zdania, że do tego celu należy użyć aparatów służących do rozbijania atomów. Jednak nawet używany „cyklotron" kosztuje tylko tysiąc dolarów, że Towarzystwo Metafizyczne nie może sobie na to pozwolić.

Pan Williamson, który jest nowoczesnym odpowiednikiem Conan Doyle'a, znanego spirytysty, który jak wiadomo jest ojcem Sherlocka Holmesa, rozpoczął już próby nad budową bardziej prostej a przede wszystkim tańszej aparatury. Chce on wynaleźć aparat telefoniczny dla komunikacji zaświatowej, który by nie kosztował więcej niż 20 dolarów. Williamson twierdzi, że wynalazek „telefonu zaświatowego" zrewolucjonizuje seanse spirytystyczne, gdyż żyjące media mieszają bardzo często wiadomości podawane przez różne duchy, wobec czego nie można na nich polegać. Wedle Williamsa zasada telefonu zaświatowego, jak oświadczył prasie, wygląda następująco: „Myśli mogą kierować energią. Myśli duchów w czasie wypowiadania wiadomości dla świata żyjącego będą zmieniały częstotliwość jonizacji w rurkach napełnionych gazami (szlachetnymi). Zmiany te będą tworzyły sygnały, które aparatura telefoniczna będzie zwiększała i przerabiała na dźwięki zrozumiałe dla ludzi".

Gigantyczny projekt

MORZE Kaspijskie stale choć bardzo powoli wysycha. Stan ten jest oddawna troską uczonych radzieckich. Opracowano wielki plan mający na celu skierowanie do dorzecza Wołgi szeregu rzek, które dotychczas zasilają wody Morza Lodowatego, aby tą drogą podnieść poziom Morza Kaspijskiego i połączyć je z Morzem Lodowatym spławną drogą wodną.

Gdy plan ten zostanie zrealizowany, zamieni się wielkie obszary stepowe na żyzne połacie.

Rządy kobiet

W Grasse Lake w stanie Michigan małym miasteczku o 800 mieszkańcach mężczyźni zbuntowali się, i przekazali władzę nad miastem kobietom. Jak wiadomo władze miejskie są w Ameryce wybieralne. Do walki wyborczej stanęło siedem kobiet. Wszystkie przyznają się, że mają około 40 lat. Jednak któryś z dowcipnych mieszkańców miasta wystawił w oknie wystawowym swojego sklepu zdjęcia wybitnie pięknych pań, twierdząc, że właśnie tak wyglądają kandydatki. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że tak nie jest. Jednak kobiety z ambicji, a mężczyźni na skutek swojej uchwały, głosowali na kobiety. Nowy burmistrz pani Helen McColl, buchalterka Towarzystwa Drzewnego pobiła panią Lockwood stosunkiem głosów 84 do 39.

Po wyborze oświadczyła ona, iż przypuszcza, że mężczyźni chcieli zobaczyć, jakie zmiany kobiety będą mogły przeprowadzić. Dodała jednak na końcu „zobaczymy, czy po roku nie będą żałowali". Pani McColl nie planuje żadnych radykalnych zmian z wyjątkiem być może gruntownych porządków w dosyć zakurzonej sali posiedzeń ratusza. Jedynym niezadowolonym mężczyzną jest pan Schaible miejscowa władza policyjna, porządkowa, wodociągowa i oświetleniowa w jednej osobie (175 dolarów miesięcznie za wszystkie te czynności), który oświadczył, że zamierza zrezygnować ze swoich różnorakich funkcji, gdyż wedle ustaw amerykańskich pani McColl jest również przełożonym policji oraz zakładów użyteczności komunalnej.

Ostatnie dni Hitlera

(Na podstawie dokumentów wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego, Międzysojuszniczej Komisji Alianckiej i Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze).

Europejski korespondent „New York Herald Tribune", Edwin Hartrich, rozmawiał na temat charakteru Hitlera z pewnym generałem niemieckim. Pisał potem tak: „Hitler aż do ostatka wierzył, że był instrumentem wybranym przez Boga do kierowania narodem niemieckim i prowadzenia go do zwycięstwa. Ta wiara w interwencję Opatrzności była nie najmniejszym czynnikiem, który dawał Hitlerowi niewiarygodną odporność psychiczną, nawet w ostatniej fazie jego klęski. Opinię tę podał wysoki oficer niemiecki ze sztabu dowództwa naczelnego armii, który stał blisko Hitlera i bywał jego gościem w Berchtesgaden, Berlinie i Adlershorst, ostatniej kwaterze Głównej. Współpracował on z Hitlerem aż do dnia nieudanego zamachu, 20 lipca 1944 roku. „Błędem jest — powiedział — przypuszczać, że częste wzmianki w mowach Hitlera, zwłaszcza w ostatnich, o Opatrzności i Bogu były jedynie frazesami. Szczerze wierzył w to, że Opatrzność powołała go i chroniła. Nawet po serii niepowodzeń w Rosji, zakończonych zwycięską inwazją aliantów do Francji, Hitler ciągle wierzył w „Gott mit uns". Informator Hartricha opuścił dowództwo Wehrmachtu przed bitwą o Berlin, opinie jego więc nie dotyczą ostatnich dni Hitlera. Tym niemniej jego opis zachowania się Hitlera czytał. Wielkim talentem jego była sztuka upraszczania skomplikowanych zagadnień, cecha często spotykana u samouków. Po kolacji Hitler wracał do pracy. O północy szedł do swoich pokojów. Jadł zakąski, słuchał muzyki gramofonowej, pił ziołową herbatę i jadł nieprawdopodobną ilość ciastek. W jego pokojach prywatnych znajdowała się zazwyczaj Ewa Braun. O ich stosunku nic pewnego nie można było powiedzieć. Można było tylko zaryzykować opinię, że był to stosunek platoniczny. Wreszcie spacerował samotnie do mniej więcej godz. 2-giej w nocy. Był człowiekiem żyjącym w nocy. O 4-tej udawał się do sypialni i czytał jeszcze książki. Raczej nie czytał a przerzucał, zatrzymując się na ustępach ciekawszych. W ten sposób czytał czasem w ciągu nocy ze dwie książki. Fragmenty z tych książek wypływały zazwyczaj na drugi dzień w dyskusjach".

„Świadek Steengracht, b. urzędnik M.S.Z. badany przez Komisję Międzynarodową (cytujemy za P.A.P.) stwierdził, iż Ribbentrop często skarżył się, że Hitler nie znał się na polityce zagranicznej. Sprawozdania ekspertów rzucał do kosza, natomiast udzielał posłuchu radom Himmlerów i Bormannów. Lubił się też kierować własną „intuicją". Hitler był zdania, iż całe ministerstwo spraw zagranicznych nastrojone było defetystycznie. Dyplomatów uważał za zdrajców, którymi się posługiwał, póki to było konieczne.

Podczas wojny coraz trudniej było porozumieć się z Hitlerem. Podstawową cechą jego charakteru był brak zaufania do ludzi rozumnych. Natomiast korzystał chętnie z rad ludzi nieodpowiedzialnych. Szaleńców poczytywał za osobników o silnej woli. Ktokolwiek udzielał

PAMIĘTNIK EWY BRAUN

Na początku bieżącego roku wywiad amerykański odnalazł skarbczyk Ewy Braun, w którym obok pamiątek i kosztowności znaleziono jej pamiętnik.

Jak wiadomo pamiętniki kobiet, stykających się bezpośrednio z ludźmi historycznymi stanowią zazwyczaj sensację. Nic dziwnego, kobiety są, zwłaszcza w polityce, rozbrajająco naiwne. Nie wszystkie, rzecz prosta, te jednak, które pisują — zazwyczaj — tak. Oficerowie wywiadu byli dyskretni, do wiadomości publicznej dotarła tylko część rewelacji, lecz i one są interesujące i rzucające mocne i charakterystyczne światło na osobę Hitlera.

Jak wiadomo bowiem Ewa Braun była pomocnicą nadwornego fotografa Hitlera Henricha Hoffmana. Oddajmy głos pamiętnikowi. Jest to niewielka książeczka zapisana ołówkiem, obejmująca, niestety, krótki okres od lutego do czerwca 1935 roku.

„**6 luty** — Dzisiaj przyszła z kwiatami w charakterze „ambasadora" pani Schaub (żona adiutanta Hitlera). Mój pokój biurowy wygląda jak kwiaciarnia, a pachnie jak kaplica pogrzebowa. Na kolację idę do Herty (to był dzień urodzin Ewy). Co innego może zrobić taka skromna, mała kobieta, licząca sobie 23 lata. W ten sposób w dzień moich urodzin skończę z obżarstwem. Sądzę, że będzie to zgodne z jego upodobaniami.

18 luty — Wczoraj niespodzianie przyszedł do mnie. To był rozkoszny wieczór. Najmilszą rzeczą było to, że zamierza kupić mi mały dom. Nie śmiem myśleć o tym. To byłoby takie nadzwyczajne... Dobry Boże, daj, ażeby to się zdarzyło w niezbyt dalekiej przyszłości.

4 marzec — jestem śmiertelnie nieszczęśliwa. On przyszedł w sobotę, tego dnia był wielki bal w Monachium. Pani Schwarz (żona skarbnika partii hitlerowskiej) dała mi bilet do loży, tak, że musiałam obowiązkowo być obecna. Do godz. 12-tej w nocy spędziłam z nim kilka nadzwyczajnych godzin. Później, za jego pozwoleniem, poszłam na bal. Od tego czasu, to znaczy od czternastu dni, nie pokazał się. Jestem taka nieszczęśliwa. Nie wiem, o co obraził się na mnie. Może dlatego, że poszłam na bal? Ale przecież dał mi sam pozwolenie.

11-ty marzec. — Dlaczegóż cierpię tak okropnie? Lepiej byłoby, gdybym go nigdy nie spotkała. Jestem zrozpaczona. Pójdę zaraz kupić więcej tabletek nasennych. Dlaczego nie zjawi się diabeł i nie zabierze mnie stąd? Jestem pewna, że w piekle jest lepiej niż tu.

Przez trzy godziny stałam przed „Carltonem" i szpiegowałam jak kupował kwiaty dla Anny Ondra (znana gwiazda filmowa, która wyszła później zamąż za słynnego boksera niemieckiego Maksa Schmelinga) i zaprosił ją na kolację.

Gdy mówił mi, że kocha mnie, traktował to tak poważnie, jak wszystkie inne swoje obietnice, których nigdy nie dotrzymał.

1 kwiecień. — Wczoraj byłyśmy zaproszone do niego na kolację do hotelu „Vierjahreszeiten". Gdy nas opuszczał wręczył mi kopertę z pieniędzmi. Raz już tak zrobił. Gdyby dodał chociaż życzenia lub jakie miłe słowo, byłabym tak szczęśliwa, ale on nigdy nie myśli o niczym takim.

20 kwiecień. — Sprawy układają się ciężko. Ciężko pod każdym względem. Dom jest gotów, ale ja nie mogę wybrać się, aby go obejrzeć. Miłość nie jest w jego programie.

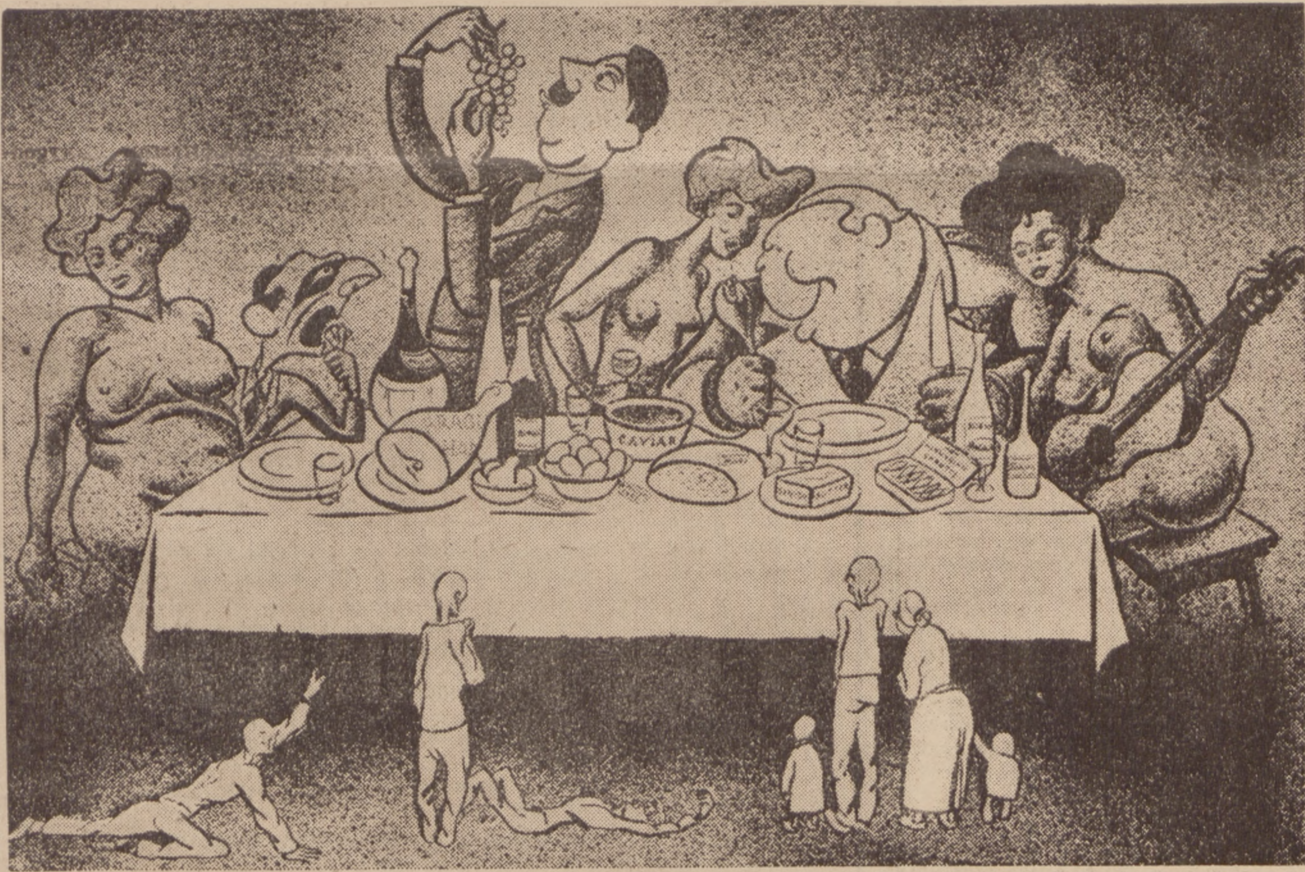
10 maj. — Zgodnie z uprzejmymi i taktownymi uwagami pani Hoffman ma on zastępczynię na moje miejsce. To jakaś „Walkiria" (wyraz ten oznacza w języku niemieckim bardzo hożą kobietę). I rzeczywiście wygląda na to i jej nogi również. Ale to są kształty, które do niego przemawiają.

28 maj. — Po prostu wyślę do niego list. List, który będzie dla mnie decydujący. Jeśli do godz. 10-tej wieczorem nie dostanę odpowiedzi, zażyję 25 tabletek i położę się spokojnie. Boże, spraw, abym mogła dziś z nim mówić. Może być, że jest jakaś inna kobieta, ale wątpię, żeby to była „Walkiria". Wszystko to jest tak beznadziejne... Nawet gwałtowny koniec byłby... Jutro będzie za późno. Zdecydowałam się na 35 tabletek, aby tym razem być już pewna. (Z tej uwagi wynika, że Ewa Braun kilkakrotnie planowała samobójstwo, jako protest przeciw chwilowym romantycznym zainteresowaniom Hitlera.)

Interesują nas także „pamiątki" znalezione w tymże skarbczyku, które dają sposobność natychmiastowego odcyfrowania pewnej tajemnicy.

Znalazły się tam także i „precjoza", darowane przyjaciółce przez zwycięskiego wodza. Oto one: srebrny komlet stołowy, oceniony przez amerykańskich specjalistów na około milion dolarów. Dlaczego tak wysoko? Był to bowiem komplet historyczny: zastawa stołowa królów polskich, z orłem i inicjałami koronnymi. Komplet skradziony Polsce! W jednym mgnieniu oka przypomniałem sobie pewną półkę z eksponatami dowodowymi na wystawie „Warszawa oskarża". Była tam odpowiedź na skargę wysokiego urzędnika niemieckiego, że wywiezione z Polski bezprawnie drogocenne rzeczy, odpowiedź tej treści, że „zostało to uczynione na osobisty rozkaz führera i należy natychmiast przerwać dochodzenie w tej sprawie". Naiwnie sądziłem, że chodzi o dobro państwa niemieckiego. Bądź co bądź, w kilka miesięcy po śmierci wodza Niemiec, udowodniono mu dwie kradzieże w Polsce. W skarbczyku znalezfono ponadto: tysiąc dolarów, sto pięćdziesiąt tysięcy marek, broszkę z pięć dziesięcioma brylantami, cztery zegarki męskie i jeden złoty zegarek kobiecy.

Nie ma chyba człowieka, któremu by opis ten nie przypomniał spisu łupów, znalezionych przy złodzieju. Rozbrajające są zwłaszcza te cztery męskie zegarki.



„Głód" (Z albumu czeskich karykaturzystów)

w Kwaterze Głównej w Adlershorst, w pobliżu Bad Nauheim, odsłania nowe szczegóły. Hitler wstawał około 11-tej rano i przeglądał przez pół godziny, w pokoju operacyjnym Kwatery Głównej, ostatnie raporty wojskowe. Około godz. 2-giej zasiadał do obiadu jarskiego i udawał się na godzinną drzemkę. Potem do godz. 8-mej pracował z Keitlem i Jodlem. Kolację jadał w towarzystwie nielicznym. Hitler jadł szybko i mechanicznie. Jedzenie dla niego było jedynie niezbędnym środkiem do utrzymania życia. Bardzo często siedział cały czas pogrążony we własnych myślach, jakby nie słuchając toczących się rozmów. Rozmowa wywierała na niego efekt podobny jak na innych muzyka: podniecała go i dawała odpoczynek. Od czasu do czasu Hitler rzucał się w środek dyskusji i przemieniał ją w godzinny lub dwugodzinny monolog. Nigdy nie zwracał się do tego czy innego słuchacza. Uczestnicy odnosili wrażenie, że mówi do większego audytorium. Działania i rozmowy Hitlera były typowe dla samouka. Podstawą jego, rozważań były zazwyczaj wiadomości z książki, którą ostatnio mu rozumnych rad, był poczytywany za człowieka słabego i defetystę." Cechę tę znamy dobrze ze stosunków z ludźmi o wielkiej ambicji i woli panowania, u tak zwanych „ludzi silnych", stała się ona przekleństwem nie jednego narodu pozbawionego dostatecznie silnej warstwy intelektualnej, któraby umiała (jak np. w Anglii) stworzyć klimat sprzyjający raczej mózgowcom, aniżeli wolicjonistom. Znakomitym tego przykładem jest stosunek społeczeństwa brytyjskiego do Churchilla: „szacunek — owszem, dyktatura — nie". Możemy tylko wzdychać do tego.

Hitler posiadał wielką zdolność do zmian taktyki w zależności od tego, z kim miał do czynienia. Jeśli człowiek był prosty i bezpośredni, Hitler był prosty i bezpośredni. Jeśli człowiek był zdolny, Hitler udawał wysoce inteligentnego. Jeśli człowiek miał argumenty, Hitler po prostu zagadywał go, a jeśli nie można było zagadać, zawsze istniała likwidacja. Był neurotykiem skłonnym do histerii.

OSTATNIE DNI HITLERA

Pewnego dnia w grudniu 1945 r. specjalny korespondent „Heralda" w Berlinie, Mea Allan depeszował: „Młody Profesor z uniwersytetu w Oxfordzie, będący obecnie na służbie brytyjskiego wywiadu politycznego, którego znamy tylko jako majora „X", oświadczył dzisiaj dziennikarzom w Berlinie, że brytyjska **Intelligence Service** nie ma już wątpliwości co do śmierci Hitlera. Hitler nie żyje! Wszystkie wiadomości, jakie zdołano zebrać potwierdzają, że Hitler popełnił samobójstwo. Razem z nim popełniła samobójstwo Ewa Braun, jego żona. Stało się to 30 kwietnia 1945 roku o godz. 2.30 po południu w podziemnym schronie w Berlinie pod gmachem Kancelarii Rzeszy. Ciała spalono, pozostałe kości pokruszono i prawdopodobnie zagrzebano w nieznanym miejscu. Raport majora „X", w którym zawarte zostały wyniki dochodzeń, nosi tytuł: „Ostatnie dni Hitlera i Ewy Braun".

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

POLA GOJAWICZYŃSKA

SZYBKO ZAPOMNIANE

Przysłano mi do korekty „Ziemię Elżbiety", a załączony list prosił o pośpiech „w celu zwolnienia metalu". Usiadłam więc zaraz do tej roboty, wśród przedświątecznej krzątaniny w domu, śledząc tekst z pewnego rodzaju mechaniczną uwagą. Ale natrafiłam na rozdział, który nie czytał się łatwo, prawdę mówiąc, miejscami był niezrozumiały. Mechaniczna uwaga zmieniła się w czujność, potem w ciekawość i zdumienie.

Zaczyna się całkiem zwyczajnie: jest mowa o niemożności zrobienia zapasów konserw na zimę. Nie chodzi tu o żadne wspaniałości, a o warzywa z własnych działek, sałaty z kapusty i zielonych pomidorów, konserwy z dyni — najwyżej ze skąpo słodzonych kompotów. Ale butelki, butelki! Butelki zostały sprzedane latem. Dlaczego posprzedawali butelki? — pomyślałam, przelotnie zaintrygowana. Zaraz jednak natknęłam się na zdanie o rozkruszaniu „Laura" huty. Cóż to ma znaczyć? Teraz wiemy dobrze, co znaczy słowo „rozkruszać", ale wówczas, gdy przyjechałam na Górny Śląsk, nie było tam domów i fabryk do rozkruszania, stały całe. Poczułam instynktownie, że między wyprzedażą wecków ze spiżarń robotniczych, a rozkruszaniem huty „Laura", istnieje ścisły związek. Tak, to przecież okres bezrobocia, rok trzydziesty, trzydziesty drugi! Bezrobocia w okręgach przemysłowych tak tragicznego, o jakim się nie ma pojęcia w innych dzielnicach kraju. Poczęłam czytać z niedowierzaniem i wstrząsem swój własny opis spraw i zdarzeń, które przecież sama przeżyłam, i które tak szybko zostały zapomniane. Bezrobotni stoją pod murem huty, w której coś niedobrego się dzieje:

„Żórwa rozkruszają, poczem zaś rozkruszać mają wielki piec martinowski. Wraz z tym rozkruszeniem, Boże i Panie, ginie w ludziach patrzących coś najważniejszego, bez czego chyba by człowiek nie wyżył na tym świecie i nadzieja! Stoją ! patrzą na rozkruszanie samych siebie, rozpacz podchodzi im żółcią do gardeł — czy to nie powstaną, nie zakrzykną i nie obronią?

„Ano powstawali nieraz w obronie swojej, w obronie warsztatów pracy. Siedzieli dniami i nocami przez całe dwa tygodnie pod ziemią, nie dając zalać kopalni. Zamykali się w obrębie hut, w strajku włoskim. Zdawało się, że od takiego siedzenia pod ziemią świat zadrży, iż głos z głębokości się wydobywający wstrząśnie ludźmi bardziej, niż ciągłe lamenty na powierzchni..."

Trudno to teraz zrozumieć, gdy nasz węgiel idzie na cały świat, gdy żelazo jest potrzebne dla odbudowy kraju. Więc wygaszano piece martinowskie, piece niewygasające ! zalewano wodą kopalnie? Cóż to za szatańska robota, czyja i dlaczego?... Czytam, że: postanowienie zapadło w łonie „Wspólnoty Interesów". Szło to szybko, szło to w tempie: redukcje, świętówki, niszczenie fabryk. Była to walka na noże, bezwzględna, bandycka, aby nie dopuścić do zniżki cen, aby wielkie zyski nie wymknęły się z rąk, walka potężnego koncernu z bezbronnym ludem. Przypominam sobie, że pewien inżynier zgromadził zespół pracowników, uruchomił małą kopalnię, ale wówczas... odebrano mu światło i piasek. Przypominam sobie, jak górnicy organizowali bieda-szyby, bez narzędzi, bez zabezpieczenia ! ginęli w nich niemal co dnia, zasypywani.

Ale nadzieja jeszcze tliła. Bo oto czytam nieco dalej, że w Warszawie minister, ich „minister (od przemysłu) rzekł w Sejmie gorzkie i pamiętne słowa pod adresem panów z Rad Nadzorczych". Poczęto bąkać nieśmiele pisać w gazetach o ochronie niszczonych warsztatów pracy, domagać się upaństwowienia kopalń i hut, posypały się kary na dyrekcje. Ludzie w osadzie górniczej podnieśli głowy, zaczęli marzyć, marzyć jak dzieci.

— Cóż to zaś miało znaczyć? Byłoż to jutrzenką błogosławioną nad milczącą krainą pracy? Czytano i słuchano o tym, jak o najpiękniejszej bajce, jak o pieśni anielskiej! Gromki śmiech zahuczał w izbach i na ulicach, gdy za morzami, w Ameryce, mąż jakiś rzekł z wściekłością: — Te swinie, baroni węglowi, muszą się ugiąć.

Mieszkałam wówczas w czerwonych, robotniczych domach przy zamarłej cynkowni i pisałam pierwszą swą powieść, „Ziemię Elżbiety". Pełna byłam groźnej treści tego życia i zrozpaczona borykaniem się z techniką pisarską, z formą, z tutejszym językiem. Nikogo koło mnie. Pisałam w kuchni, pod oknem i obok drzwi. W towarzystwie bochenka chleba. Kroki na schodach i pukanie do drzwi, to jedynie przerywało mi pracę. Kroiłam chleb, otwierałam drzwi, podawałam. Tej jesieni mogłam zobaczyć sama, zbliska, nieomal namacalnie, czym jest złowroga gra kapitału, mogłam policzyć jej skutki w kosteczkach dzieci pod przezroczystą skórą, w apatii mężczyzn, leżących pod płotami ogródków działkowych, w zaciętych, wychudłych twarzach kobiet, w zapachu trującej brendki i eteru, szmuglowanych przez granicę... Wiemy, że nic się nie stało. Baroni węglowi całego świata nie uginają się. Zatopiono nadwyżki, zniszczono warsztaty pracy. Zima, jaka zapadła nad osadą, była straszną zimą. Domy z czerwonej cegły stały w wielkiej ciszy, bez światła, bez ognia, bez głosu ludzkiego. Gmina wyłączyła światło. Gmina nie płaciła już zapomóg. W kuchniach, w małych szamotowych piecykach tlił się wypalony zebrany z hałd żużel węglowy. Ale to nie był koniec. Któregoś dnia bezrobotni spod płotów podnieśli głowę i spojrzeli na tamtą stronę, na niemiecką stronę:

„Kominy po tamtej stronie dymiły! Dymiły bez świętówek, dniami i nocami, bez przerw, łuny biły z niewygaszonych pieców martinowskich!"

Ognie i pieśni hitlerowskie szły teraz w oniemiałą, opustoszałą stronę polską. Tak, jakby wielki kapitał uciekł z tej strony, aby pracować po tamtej, pełną parą na nową wojnę, na nowy mord i zniszczenie świata, na nowy wszechświatowy kryzys! Tak było, szybko zapomniane. Tak było, niewyliczane teraz w biedach codziennego dnia, niewyliczane w jego zwycięstwach.

Kończę swoją korektę w dniu oświadczenia innego amerykańskiego męża stanu, Marshalla, z formułą włączenia pewnych rolniczych części Śląska w gospodarczy system — czyj? jaki? Czy lud śląski dosłyszał i rozważył? Czy my wszyscy, obarczeni gorzkim doświadczeniem i świadomością, zdajemy sobie w pełni sprawę z tej walki — nie tyle o zasiewne pola — ile o nasz kąt i przyszły pokój świata?

1 Maja — święto Związku Radzieckiego



Oto grupa czołgistów — bohaterskich zdobywców Berlina pozdrawia lud Moskwy w czasie zeszłorocznej defilady pierwszomajowej.



Or - Ot

TRZECI MAJ

Pamiętasz?... Wtedy grały wszystkie dzwony,
A ty, o Polsko, jak można królowa,
Słuchałaś pieśni gromowego słowa,
Duchem narodu wzniesiona nad trony.
Od gór, od morza, od starych rubieży,
Bronionych szabel pradziadowskich granieni,
Husarskich skrzydeł uderzyło wianiem
I z krwawych mogił wionął szept pacierzy.

Królu z narodem! Gdzież wyście nie biegli,
Oczyma ducha? W jakich niebios wyże?
(A już golgockie ustawiano krzyże
I dół kopano tym, co we krwi legli)...
Królu z narodem, wyście bili w słońce,
Jako te orły z herbowego znaku,
(A na dalekim, lodowatym szlaku,
Już kuć zaczęto kajdany dzwoniące)...

Sto lat minęło, a serce Polaka
Wciąż patrzy w błękit, dawnej szuka zorzy,
I w gniewnej dumie kopie szczęt obroży,
I bojowego wygląda rumaka.
Sto lat minęło, a z grobu otchłani,
Gdzie leżą ojców spróchniałe kości,
Duch zmartwychwstania z aniołem miłości,
Wieńczą cię, Polsko, ziem królewskich pani

Na Małachowskich, Kołłątajów groby,
Do prochów drogich uświęconej urny,
Idź, o potomku, w prób godzinie chmurnej
I na purpurę szatę zmień żałoby.
Uderz o kamień sercem, a kamienie
Takim ci głosem odpowiedzą dzwonu,
Iż się poczujesz spadkobiercą tronu,
Który obejmie — twoje pokolenie.

Jeżeli tobie, o Polsko bolesna,
Dano koronę z Chrystusowych skroni,
Jeśli ci wiosna nie kwitnęła wczesna,
Budząc krzyk orła, dzwoniąc w tarcz pogoni,
Jeżeliś wszystko wycierpiała ninie
Na drodze ludów, w męce swej samotnej,
To za to teraz, w tej cudu godzinie,
Wynijdziesz w słońcu na swój maj powrotny...

(1 9 1 6 R.)

Trzeba daleko szukać

Jestem pilnym czytelnikiem recenzyj teatralnych, lubię bowiem chodzić do teatru, acz nie na każdą sztukę, czemu nie należy się dziwić: mam swoje upodobania, jak je ma każdy człowiek. Czytuję również pisma teatrologiczne, jakie się u nas ukazują, np. „Teatr" czy „Listy z teatru". Czytując recenzje, zastanawiam się nieraz nad rozbieżnościami w poglądach ich autorów na tę samą sztukę i jej wykonawców. Różnica upodobań? Zapewne. Myślę jednak, że krytyk teatralny nie powinien mieć upodobań. Mogą one być właściwością niewyrobionego artystycznie odbiorcy sztuki, który woli, dajmy na to, „Panią prezesową" niż „Pigmaliona; co się tyczy krytyka, ten musi się opierać nie na upodobaniach, lecz na pewnych zasadach, na jakichś kryteriach i probierzach, mniej więcej stałych. Albowiem zadaniem jego jako krytyka jest kształcenie zmysłu teatralnego publiczności — oczywista, nie w sposób moralizatorski, lecz tak, jak rozumny wychowawca, niedostrzegalnie dla swego wychowanka, odsłania przed nim drogi prawdy, piękna i dobra.

Tymczasem, jak powiedziałem, nieraz zaskakuje mnie bardzo krańcowe ujęcie tej samej sztuki przez różnych krytyków. Niedawno grano w Łodzi „Ożenek" Gogola. Cztery pisma codzienne, wychodzące w Łodzi, napisały o „Ożenku" recenzje, i każda z nich była zupełnie inna. Co do tych recenzyj, zaintrygowała mnie jeszcze jedna rzecz: ukazywały się one w pewnych odstępach czasu, co parę dni. Gdyby je krytycy ogłosili tego samego dnia, natychmiast po premierze, mógłbym o nich powiedzieć: każdy z nich pisał swoje sprawozdanie na gorąco; są to ludzie różnych przekonań politycznych, poddali więc oglądaną sztukę analizie z punktu widzenia tych przekonań, chociaż, moim zdaniem kryteria polityczne nie powinny być w sztuce stosowane. Ale owo zwlekanie każdego z krytyków nasunęło mi podejrzenie (nie jest to ładnie z mojej strony) że każdy z nich czekał na to, co napisze jego kolega z przeciwka: acha, on powiedział „a" więc ja powiem „b"; trzeci powiedział „c", czwarty „d"; i tym sposobem każdemu z nich zdawało się że jest oryginalny. Mam wrażenie, że wysadzanie się na oryginalność bywa jakże często tą fałszywą „zasadą", wedle której postępuje sporo krytyków teatralnych.

Zdarza mi się czynić jeszcze ciekawsze obserwacje: ten sam krytyk potrafi napisać raz jedno, drugi raz coś zgoła innego. Kiedy rok temu wystawiano w Łodzi „Elektrę" Giraudoux, pewien postępowy krytyk ocenił ją surowo, a to ze swego stanowiska ideologicznego. Rzecz jasna, że ma do tego prawo. Oświadczył mianowicie, że sztuka ta nie jest pożyteczna społecznie, jest „elitarna", zrozumiała tylko dla „inteligencji", dla „wtajemniczonych", wówczas gdy teatr jest przeznaczony dla najszerszych mas. Zgoda. Ale, gdy potem wystawiono w tejże Łodzi sztukę współczesnego autora polskiego, w założeniu swym przeznaczoną dla mas, i sztuka ta nie cieszyła się powodzeniem u publiczności (może była źle wyreżyserowana i zagrana?), tenże sam krytyk tłumaczył, że społeczeństwo nie dorosło widocznie do zrozumienia tej sztuki, prawdziwy bowiem teatr pracuje tylko dla widza „inteligentnego". Podobne niekonsekwencje w wydawaniu sądów o sztukach teatralnych i o teatrze w ogóle, o jego celach i zadaniach, muszą chyba zbijać z pantałyku czytającą publiczność, która nie wie wreszcie, co myśleć o teatrze, i być może przestaje wreszcie czytać recenzje, a idzie tam, gdzie ciągnie ją smak, niezbyt może wybredny, albo zachęta najbliższych znajomych: Jeszcze pani nie widziała przyjaciela, co przyjdzie wieczorem" w „Powszechnym"? To niechże się pani śpieszy. A na tę „Oresteję" nie radzę: jeden jeszcze Kreczmar do ludzi podobny... Sam doznałem przed kilku dniami takiej zachęty: pewien znajomy zalecał mi, żebym coprędzej zobaczył „Co się ma pod ręką". Zachodziłem w głowę, jaka to sztuka. Okazało się, że znajomy miał na myśli „Po co daleko szukać?" w teatrze Małym.

Z powyższego by wynikało, że kulturę teatralną w Polsce można trochę podnieść. Do podniesienia je powołani są przede wszystkim recenzenci, współpracujący umiejętnie z teatrem. Ale rzecz osobliwa: tak się utarło w naszym czasopiśmiennictwie, że krytykiem teatralnym może być każdy dziennikarz: teatr przysyła do redakcji bilet wolnego wstępu na dwie osoby, ktoś z redakcji idzie na przedstawienie — niemal ten, kto jest pod ręką, bo po co daleko szukać? — i nazajutrz publiczność czyta takie, przypuśćmy, opinie: pani Iks ma doskonałe warunki zewnętrzne, ale ich nie wyzyskała należycie; pan Igrek wykazał duże możliwości wykonawcze; pani Zet miała zabawne momenty; pan Ipsilon był na poziomie... Nigdy nie mogłem dojść, o co autorom takich krytyk chodzi. Żeby pisać o teatrze, trzeba go znać. Żaden redaktor szanującego się pisma nie pozwoli na to, żeby referent sportowy pisał artykuł polityczny albo gospodarczy; odwrotnie, polityk czy ekonomista nie będzie recenzował zawodów bokserskich. Żeby uszyć parę dobrych butów, trzeba się długo uczyć — bo to jest nielada sztuka; żeby skrajać uczciwie garnitur, trzeba przejść solidną szkołę kroju.

I recenzentów teatralnych należałoby kształcić teatrologicznie, choćby na jakimś kursie przy PIST-ach, czy jak się to nazywa. Recenzent powinien mieć zainteresowanie i zamiłowanie do teatru; chodzić na próby, utrzymywać łączność z aktorami (nie tylko w kawiarni i przy kieliszku), rozprawiać z reżyserami; powinien znać dobrze tekst sztuki, którą teatr ma wystawić; rozejrzeć teatr od strony kulis i tzw. kuchni, popatrzeć na pracę inspicjenta, dekoratora, kostiumera, fryzjera; posiąść sporo wiadomości teoretycznych: wiedzieć, co zdziałali Meiningeńczycy i Antoine, Craig i Stanisławskij, Reinhardt czy Piscator, i nie tylko oni: znajomość w ogóle historii teatru jest dla recenzenta konieczna. Po odbyciu takich studiów, recenzent może dopiero zabrać się do recenzji, lecz nie tak, by się w nich popisywać zdobytą wiedzą, jeno by się ją w nich czuło, jak się czuje rękę majstra w jakimś, powiedzmy, elegancko odrobionym fotelu czy biurku. Bo teatr jest rzeczywiście niezmiernie doniosłym czynnikiem w życiu kulturalnym społeczeństw, i to nie od dziś: od czasów Ajschylosa, twórcy „Orestei" poczynając, poprzez misteria średniowieczne, renesans, barok, poprzez Calderonów, Szekspirów, Molierów itd., idąc do dnia dzisiejszego.

Jerzy Wyszomirski

John dos Passos

RZECZPOSPOLITA SPÓŁDZIELCÓW

W pędzącym na zachód pociągu transkontynentalnym wszystkie miejsca były zajęte. Powietrze, wypchnięte z wielu płuc, było ciężkie i stęchłe. Zmiętoszony wygląd podróżnych świadczył, że spędzili kilka nocy w ubraniu. Cywile śpieszyli do fabryk zbrojeniowych. Żołnierze i marynarze jechali na Pacyfik. Poprzez podróżą zmęczenie stłoczonego i znużonego tłumu przebijał powiew przygody. Jeden podróżny sylabizował drugiemu nieznajome nazwy stacji. Opowiadali o posadach, które mieli objąć, pokazując sobie kartki, otrzymane w biurach pośrednictwa pracy. Na nielicznych zakrętach tego prostego szlaku wszystkie karki zwracały się do zakurzonych okien, aby rzucić pierwsze spojrzenie na Góry Skaliste wciąż jeszcze odległe o setki mil.

Pociąg opuścił krainę jezior, urozmaiconą gdzie niegdzie kępami brzóz i modrzewi, jodeł i nastroszonych sosen i kołysał się miarowo wśród bladej zimowej równiny niekończących się pszenicznych pól, przyprószonych pierwszym śniegiem.

Stałem na pomoście wagonu, wdychając zimne powietrze, bijące od podłogi, gdy spostrzegłem, że wpatrzony w drzwi długonogi i jasnowłosy mężczyzna obok mnie ,nosi oznakę Jedności Farmerskiej. Rozgadaliśmy się. Okazało się, że jedzie na ten sam zjazd, co ja. Gdy zacząłem zadawać pytania, błysk podejrzliwości przemknął przez szare oczy. Pytałem go o spółdzielnie rolnicze. Z pewnym ociąganiem przyznał, że wie coś niecoś o nich. „Tam, gdzie żyję — powiedział rzeczowo — w najodleglejszym północno-zachodnim zakątku stanu, weiąż jeszcze pamiętamy lata suszy, kiedy na każdych stu farmerów, osiemdziesięciu żyło z zapomóg. Dostaliśmy straszne cięgi i wiemy, że nikt nam nie pomoże, jeżeli sami sobie nie pomożemy".

Udało się nam zdobyć dwa miejsca między grupką zaspanych młodzików w przedziale dla palących. Wymieniłem swoje nazwisko, które było mu znane. Wspomniałem, że w biurze zjazdowym wiedzą o moim przybyciu. Na to po pewnym czasie odtajał. „Gazety nas nie lubią — mruknął. Well, my ich nie lubimy. Weźmy sprawę wózków. Mamy największe trudności z uzyskaniem wózków dla naszych elewatorów spółdzielczych. Wojenne urzędy kontrolne wykładają przepisy o przydziałach na korzyść wielkich przedsiębiorstw młynarskich, a przeciwko nam... Well, my sami stajemy się wielcy."

W jego stronach spółdzielnie dopiero co przejęły wszystko.

Po pierwszych słowach temat go porwał. W odległych miastach zwijano prywatne przedsiębiorstwa. Spółdzielnie doskonale sobie radziły z wytworzoną sytuacją. Obroty podwajały się, rosły skokami... wprowadzano coraz nowe działy.

Położyliby podwaliny pod rzeczpospolitą spółdzielczą, gdyby ustawodawstwo nie krępowało ich poczynań. W Waszyngtonie istniała tendencja do opodatkowania ich na równi ze spółkami handlowymi. To by było podwójnym opodatkowaniem, ponieważ członkowie płacili podatki od swoich zysków. Jego zdaniem, kapitaliści zmierzali do zniszczenia spółdzielni w zarodku, zanim urosną w siłę. Mają do stoczenia walkę. Prawdę powiedziawszy, nie są tak zupełnie nieprzygotowani do tej walki — mają silną organizację krajową i silne związki spożywców i odbiorców. W jego stronach prywatne przedsiębiorstwa znikły prawie zupełnie. Pracował kiedyś sam w składzie towarowym, wypracował sobie stanowisko kierownika — co za piła! Teraz prowadził spółdzielnię spożywczą. Dawali lepszą obsługę po niższych cenach przy większym zysku, niż sklep kiedykolwiek dawał. Nie mogliby się jednak nigdy utrzymać bez silnej organizacji politycznej, wywierającej stały nacisk na ciała ustawodawcze. W tych stronach Jedność Farmerska i spółdzielnie pracowały razem jak dwoje waszych rąk; wiecie — ręka rękę myje.

Młodzi marynarze spali wsparci o swoje torby podróżne. Wskazał na nich kciukiem... „Nie chcemy zapomnieć, przyjacielu — jego głos stał się mocny i głuszył hałas pociągu — że te dzieci są naszymi dziećmi i że ten kraj jest naszym krajem. Dlatego musimy walczyć z wewnętrznym nieprzyjacielem, gdy oni walczą z wrogami na obczyźnie."

ZJAZD

Komisja wniosków obradowała przy długim stole w suterenie. Byli to rośli, czysto ubrani mężczyźni, o rękach zgrubiałych od robót w polu i ogorzałych twarzach ,porysowanych delikatnymi zmarszczkami od blasku i surowego klimatu równin. Byli to ludzie, którym przyjrzelibyście się dwa razy, obojętnie gdziekolwiek byście ich spotkali. Przewodniczący miał ciemną falującą czuprynę, zdecydowany profil i długi, zamyślony nos. Miał straszny katar i ustawicznie wycierał nos w dużą białą chustę. Obok niego siedział sekretarz. Mały, ułomny, bystry, o dużych oczach, grzebał w swoich dokumentach. Jego urywane ruchy robiły wrażenie poruszeń popsutej marionetki.

Z góry poprzez sień dochodził skrzypiący hałas tłumu, zgromadzonego w hallu i dźwięki śpiewu mężczyzn i kobiet:

Zwartych w Farmerskiej Jedności;
Nic nas nie poruszy,
Nic nas nie poruszy,
Tak jak drzewo
Rosnące nad wodą,
Nas nic nie poruszy.

Chudy sekretarz czytał chropawym głosem:

„Zdajemy sobie w pełni sprawę, że zmaganie, wstrząsające całym światem, zmaganie, którego doniosłości nie możemy jeszcze w pełni ogarnąć, nie ustanie wraz z zakończeniem militarnej fazy konfliktu. W nowej epoce, która się rodzi, działają dwie potężne siły .Z jednej strony nieliczni, chciwi zysku chcieliby zagarnąć owoce zwycięstwa, aby jeszcze bardziej wzmocnić swoją potęgę w ojczyźnie i przyśpieszyć przy pomocy pokrewnych interesów, działających w innych narodach, powstanie nowego imperializmu na całym świecie."

Przerwał. Mężczyźni, siedzący przy stole, wysłuchali go ze zmarszczonymi brwiami. Zapanowała cisza. „Nikt nie może poświęcić w tej wojnie więcej, niż własnych synów... To o tym mowa... Na pewno." Znów milczenie. Twarze były poważne. W duchu każdy starał się przerzucić pomost między myślą i jej sformułowaniem.

„Czy nie można tego powiedzieć jaśniej?" — spytał przystojny blondyn, opierając się o poręcz krzesła i wydmuchując dym w stronę sufitu.

„Nam trzeba ustawy o ochronie rolnictwa" — odezwał się z drugiego końca stołu mężczyzna o szerokiej twarzy.

„Powinniśmy jasno i otwarcie wymienić naszych wrogów — wtrącił zgorzkniały głos. — Pewne dzienniki, pewni politycy, bankierzy, wielcy kupcy zbożowi". Mężczyzna o ostrym profilu mówił powoli, jakby wyliczał przeciwników na palcach.

„Pewnie — powiedział inny. — Może wyrazimy to bardziej bojowo?" Myśl podziałała ożywczo na zebranych. Uśmiech przenosił się z jednej twarzy na drugą. „Urzędowe formułki; zupełnie urzędowe formułki" — zawołał ktoś pogodnie.

„A co z farmą jednorodzinną? Przecież to nasz program?"

„Prawie o wszystkim... Zresztą, to tylko wstęp. Szczegóły zawarte są w tekście rezolucji — przerwał przewodniczący swoim łagodnym głosem. — Powiedziano to zupełnie wyraźnie. — Uśmiechnął się subtelnie. — „Pozwólcie, że przeczytam jeszcze raz od początku", podsuwał przekonywująco. „Mnie się zdaje, że sens jest zupełnie jasny." Uśmiechając się wciąż po ojcowsku, odebrał kartki maszynopisu od sekretarza, który krzywił się i wycierał pot z czoła. Czytał od początku. Wymawiał słowa dokładnie i wyraźnie. Słuchając po raz wtóry, obecni zaczęli kiwać potakująco głowami.

„... miliony prostych ludzi walczą o uczynienie tego stulecia swoim stuleciem przez rozwój wolności gospodarczej i ustalenie demokratycznych zasad własności..."

„To idea spółdzielcza — przerwał ostry głos. To w porządku."

„... przez swobodny rozwój produkcji, wymianę bez ograniczeń i przez zdobycie wolności politycznej na drodze rozszerzenia oświaty, wolności obywatelskich, przez udział w rządzie przez siebie wybranym..."

„Dobrze" — mruknął ktoś potwierdzając.

„Przegraliśmy w tym roku wszystkie batalie ustawodawcze w Waszyngtonie" — przerwał ponownie człowiek o ostrym profilu. — Co zrobimy, jeżeli znów będzie posucha, a nie będzie opieki nad młodzieżą i skończą się ubezpieczenia farmerów?"

„... A banki położą pieczęć na kredytach rządowych" — dokończył jak echo głos z drugiego końca stołu.

Przewodniczący przerwał i spojrzał uważnie sponad kartoteki maszynopisu. Znów milczenie i zmarszczone brwi zapanowały nad stołem. Z góry dochodziły powolne głosy, śpiewające w kluczu basowym:

Z gór spływa na mnie wielka moc,
Widzę obraz przyszłych dni;
Wiary wiew i marszu zryw
Oba dałeś mi...

Zebrani wsłuchali się w dolatujące słowa. Powolny ich oddech świadczył, że działa na nich powaga jakby organowej melodii. „To Pokój nad Rzeką, to nasza najładniejsza pieśń", szeptał, uśmiechając się jeden do drugiego. Czekali aż głosy na górze skończą:

Pokoju pragnę od Ciebie, o rzeko,
Pokoju...

„Trzeba iść dalej. Nie możemy tracić całego dnia nad jednym zdaniem" — odezwał się suchy głos. Rozległy się chrząkania. Przysunięto krzesła bliżej stołu. Przewodniczący wytarł nos w wielką chustę i podjął czytanie.

(Fragment książki pt. „STATE OF THE NATION — napisany w listopadzie 1943 r. Przełożył *Władysław Pawlak*)

PO STULETNIEJ BEZCZYNNOŚCI



Po ciszy, trwającej przeszło sto lat, islandzki wulkan Hekla ponowił działalność wybuchem, który wyrzucił kolumnę kamieni, lawy i dymu na 5.500 stóp ponad wierzchołek góry. W Reykjavik, stolicy Islandii, odległym o 90 mil na północo-wschód, odczuto wstrząs ziemi, wywołany wybuchem.

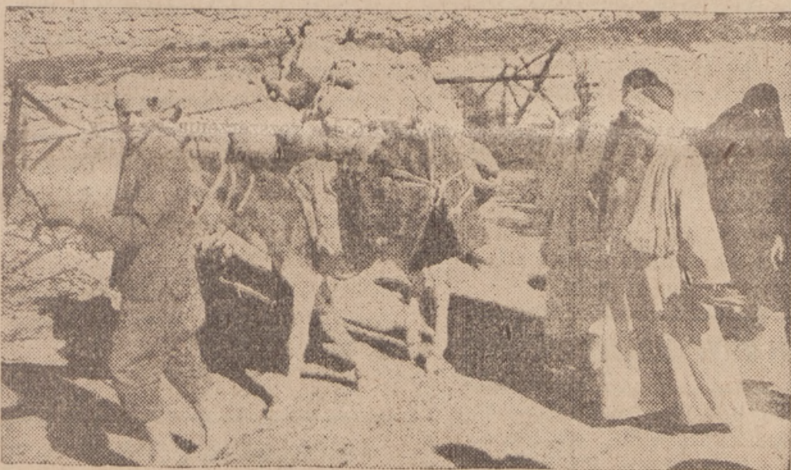
Chester Kronfelt, fotograf Amerykańskich Linii Zamorskich, który poleciał, by zrobić to zdjęcie, opowiada, że w miarę zbliżania się do wulkanu, odczuwano silne wstrząsy. Widać było kamienie, lawę i dym, strzelający w niebo, podczas gdy dwa strumienie lawy, płynące po zboczu, jaskrawo odcinały się od śniegu.

Popiół wulkaniczny, opadający z szybkością jednego centymetra na godzinę, przyprószył nawet Wyspy Westmanna, odległe o 60 mil, gdzie automobiliści zmuszeni byli, mimo dnia, zapalić światła.

Gęsto zaludnione obszary na południe od Hekli są zagrożone wyziewami i popiołem, które zanieczyszczają wodę.

Gruba warstwa popiołu wulkanicznego pokrywa wielkie obszary kraju.

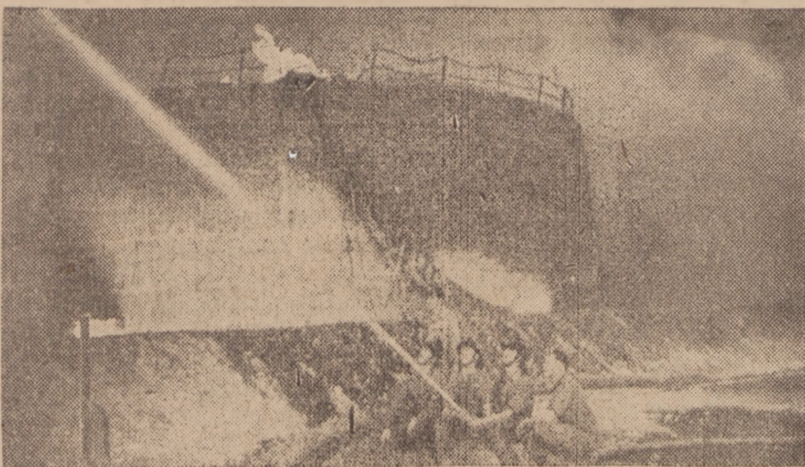
WIELKANOCNE PIELGRZYMKI KAPŁANÓW Z EGIPTU DO JEROZOLIMY



Do Jerozolimy przybyły tysiące pielgrzymów koptyjskich na uroczystości wielkanocne. Pielgrzymi nieśli ze sobą zapasy żywności na blisko dwa tygodnie, w czasie których przebywać będą w świętym mieście, modląc się u relikwii swej wiary.

Koptowie, potomkowie dawnych Egipcjan, wyznający zmodyfikowaną wiarę chrześcijańską, głową której jest Patriarcha, nie zawierają małżeństw z osobami nie-koptyjskimi. Po skończonych obrzędach wielkanocnych, które mają miejsce w tydzień po Wielkiejnocy chrześcijan, wrócą specjalnymi pociągami do Egiptu, skąd przybyli.

ŻYDOWSCY TERRORYŚCI PODPALAJĄ ZBIORNIKI BENZYNY W HAIFIE



Szkody, spowodowane przez ataki terrorystów żydowskich na zbiorniki benzyny w zatoce Haifa, w Palestynie, są ogromne. Dziesięć z siedemnastu zbiorników zostało uszkodzonych ogniem, który wreszcie opanowano Cała Haifa była zasłonięta gęstymi smugami dymu, wznoszącego się na wysokość 4.000 stóp. Straż ogniowa miała do pokonania 100-stopowy wał ognia, przy czym istniało ogromne niebezpieczeństwo dalszych eksplozji. Banda Stern podjęła odpowiedzialność za wzniecenie ognia, rozdając ulotki, głoszące: „To myśmy wszczęli ogień".

Film TYGODNIA

Państwowa Szkoła Morska w Gdyni



Państw. Szkoła Morska posiada 2 wydziały: mechaniczny i nawigacyjny. Na zdjęciu uczniowie wydz. mechanicznego na zajęciach praktycznych.



„Nawigatorzy", adepci na przyszłych oficerów marynarki handlowej na pływalni.



Z pływalni w Szkole Morskiej korzysta również młodzież innych uczelni. Na zdjęciu lekcja pływania uczennic gimnazjum Sióstr Urszulanek,



Na Placu Trzech Krzyży w Warszawie przystąpiono do porządkowania terenu pod budowę wielkiego gmachu Ministerstwa Przemysłu i Handlu. W głębi ruiny kościoła św. Aleksandra, który ma być odbudowany w pierwotnym kształcie.

Włodzimierz Dzwonkowski

ZNACZENIE



Stanisław Małachowski
Marszałek Sejmu Wielkiego

„Naród polski w ostatnim stopniu upadku... praw, a ojczyste w niwecz obrócone, sprawiedliwość zdeptana..., u zagranicznych jest wstydem i hańbą zwać się Polakiem..." — pisali Czartoryscy, przystępując do reform pod koniec doby saskiej. A król Leszczyński stwierdzał, że Rzeczpospolita, jak stary gmach, zapada się pod własnym ciężarem. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy razem z Konarskim podjęli „nowe... świata polskiego tworzenie".

U ŹRÓDEŁ UPADKU

Ustrój Rzeczypospolitej stanowił w całej Europie pewnego rodzaju unikat. Szlachta polska urosła do nieznanej gdzie indziej potęgi. Przypominała ona demokrację ateńską lub rzymską. W nowoż. Europie nigdzie, nawet w Anglii, nie było takiej milionowej rzeszy ludzi wolnych, biorących udział w życiu publicznym... Dwa i pół razy liczebniejsza Francja posiadała zaledwie 170.000 szlachty i trochę uprzywilejowanego duchowieństwa. Zjawisko okazałe, rokujące państwu niezmierną siłę, uległo z czasem spaczeniu. Na zachodzie czynnik monarszy wygrywał na korzyść państwowej racji stanu równowagę i rywalizację stanów. Z tego zrodził się absolutyzm oświecony, niezbędny etap rozwojowy na Zachodzie od feodalizmu do konstytucyjnej monarchii i ustroju parlamentarnego. U nas przeciwnie — równowaga stanów, jaką zostawił Kazimierz Wielki, runęła w XV wieku, kiedy szlachta w ustawach nieszawskich zdobyła rządy, wykorzystując swą przewagę militarną, jako pospolite ruszenie ziemskiego rycerstwa. Umożliwione to było niedorozwojem polskiego mieszczaństwa, zastąpionego w znacznej mierze przez mieszczaństwo żydowskie i niemieckie, które się zasklepiło we własnym samorządzie i życiem państwowym się mniej interesowało. Chłop zaś spełniał rolę niewolnika: zabiedzony, nie śmiał sięgać po prawa polityczne i nie odczuwał tego potrzeby.

Takiego mnóstwa suwerenów — elektorów nie miał żaden kraj na świecie, chyba tylko Rzym, powiada prof. Konopczyński. Szlachta — to naród towarzyszy husarskich, tych spod Kircholmu, Chocima i Wiednia, najwolniejszy naród na kuli ziemskiej. Ale to było możliwe wtedy, gdy ta szlachta tworzyła niezwyciężoną warstwę rycerską, broniącą puklerzem swych piersi rubieży państwa.

Ale gdy zaczął się spław zboża Wisłą do przemysłowej Flandrii i budulca masztowego do Anglii, gdy otworzyły się przed polskim zasięgiem ukraińskiego czarnoziemu skiby, szlachcic — rycerz przekształcił się szybko w kontemplacyjnego hreczkosieja, który animusz miał na paradach powiatowych, a coraz częściej czmychał z wojny Rokoszej i spod Piławiec. Bitwy zaczęła wygrywać chłopska piechota kwarciana, basztowy żołnierz cechowy i artyleria Grodzickich i Arciszewskich, Przyjemskich i Kątskich.

Szlachta stopniowo różniczkuje się na magnatów, szlachtę folwarczną i zagonową. Drogą protekcji, terroru i przekupstwa dwie dolne warstwy szlacheckie obróciły się w powolne narzędzie oligarchów.

W Europie były państwa typowo szlacheckie — jak Francja, Austria, Prusy, Rosja, gdzie urzędy były w rękach szlachty, ale tam wszędzie powstał silny rząd monarchistyczny, regulujący stosunki społeczne według pewnej racji stanu. Nigdzie przewaga społeczna szlachty nie była tak bezwzględna jak u nas. W obradach narodowych nie dopuszczono do głosowania większością, stosowano jednomyślność, dobrą dla aniołów ale nie dla ludzi. Liberum veto, czyli zrywające sejm „wolne nie pozwalam" jednostki dawało żer warcholstwu opozycyjnych posłów, prawie zawsze podszytemu zdradą. I przez półtora stulecia naczelną władzę sprawował u nas niesforny i kłótliwy, a ciemny i anarchiczny tłum sejmikowy, tłum elekcyjny.

Odpowiedzialny za wszystko był król, on dźwigał sprawę publiczną i rację stanu, król występujący w otoczeniu sejmu czy senatu, ale między majestatem a rozwydrzoną wolnością, drżącą przed silną władzą, wrzała odwieczna podziemna walka, która paraliżowała normalne funkcjonowanie aparatu administracyjnego, szachując nieustannie króla prawem wypowiedzenia mu posłuszeństwa.

Wolne elekcje pozbawiały politykę polską ciągłości, a otwierały na oścież wrota wpływom obcym.

Władzę wykonawczą sprawowali faktycznie nieodpowiedzialni, dożywotni ministrowie: marszałek, kanclerz, podskarbi, hetman. Żadnemu z nich nie mógł król rozkazywać, żadnego zmusić do posłuszeństwa. Wolno było ministrom administrować, politykować i zdradzać na własną rękę bez żadnej kontroli, najczęściej w myśl interesów własnej rodziny magnackiej i jej kliki.

Nad całą polityką zagraniczną królów roztoczył opiekę anarchiczny sejm, nadając jej piętno bierności i prowadząc na bezdroża, wtedy gdy pętla osaczenia i narzuconej gwarancji prowadziła kraj do nieuniknionej zguby. Podcięto skrzydła każdej śmielszej inicjatywie królewskiej. Wojen prewencyjnych ani rewindykacyjnych naród prowadzić nie chciał, myśląc jedynie o redukcji podatków. Kurczył się skarb, redukowało wojsko do operetkowych rozmiarów.

Nie wyzyskaliśmy wojny trzydziestoletniej ani siedmioletniej, chociaż można było odzyskać wtedy Śląsk lub Prusy Wschodnie. Zaniedbaliśmy sprawy rozszerzenia dostępu do morza i budowy floty. 200-letnia polityka zewnętrzna Rzeczypospolitej zakończyła się odepchnięciem jej od morza Czarnego, zwężeniem dostępu do Bałtyku, zasklepieniem narodu w hreczkosiejstwie, bez zaokrąglenia narodowego na Zachodzie, bez złagodzenia stosunków na Wschodzie.

Szlachta i sejmy były zaabsorbowane jedną myślą natrętną, prawdziwą idée fixe: obroną swobód szlacheckich przed podejrzewanym zawsze o zakusy despotyczne majestatem, i dlatego odrzucano wszelkie reformy wewnętrzne. Poza tym myślano o jednym jeszcze: szlachta mazurska pilnowała, żeby chłopi pańszczyźniani nie uciekali na Ruś; szlachta wołyńska i podolska wzdychała, by na miejsce chłopów uchodzących na Dzikie Pola napływali inni z Mazowsza. Ten lęk o utratę siły roboczej zapobiegał nadmiernemu uciskowi chłopa, takiemu jaki był na Wschodzie. Wbrew temu, co się mówi, poddaństwo zaczęto rozciągać na chłopów ukraińskich dopiero w połowie wieku XVIII. Racjonalnej jednak kolonizacji nie prowadził żaden rząd, tak jak nikt nie zabiegał o sprowadzenie z zachodu wykwalifikowanych rzemieślników i zamożnych kupców, tak jak to czyniły Prusy, Holandia, Anglia.

Płynęło miękko życie staropolskie, a na tle dobrobytu rozwinęło się lenistwo i niedbalstwo, a wreszcie zaczęto zatracać samopoczucie niepodległości.

TROSKI REFORMATORÓW

Konieczna była przebudowa państwa. Na początku XVIII wieku zrodziła się koncepcja reformistyczna Karwickiego, obejmująca sejm nieustanny, obieralność urzędników, wyłączenie od korony cudzoziemców, zabranie starostw na skarb. Nie chciano o tym słyszeć, ani myśleć: niech wszystko pozostanie jak było za naszych ojców. Polska nierządem stoi i mocarstwa same czuwają nad tym, by które z nich nie zbogaciło się naszym kosztem, naruszając równowagę europejską.

Ten kanon był tak wszechpotężny, że nikt nie ośmielił się przeciwstawiać opinii. Pierwsze głosy o sprawach reformy odezwały się z ukrycia: Stanisław Poniatowski (ojciec) krył się pod mianem „ziemianina". Leszczyński lub Konarski — piętnaście lat się wahali, zanim wystąpili. Trzeba było być wielkim śmiałkiem, żeby zerwać z taktyką milczenia.

Dopiero, gdy zjawiło się nowe pokolenie Polaków, wychowane pod wpływem francuskich racjonalistów, ośmielił się Stanisław Konarski wystąpić w końcowej dobie saskiej z epokowym dziełem „O skutecznym rad sposobie". Zbliżał się do wzorów angielskich i szwedzkich. Domagał się głosowania większością, przyznania pełnej władzy dwuizbowemu sejmowi, przewagi izby nad senatem, skasowania nakazczych instrukcji, oczyszczenia sejmików z nieposiadających ziemi. Organem wykonawczym miała być rada rezydentów. Starostwa przyznane skarbowi miały stać się podstawą banku narodowego.

Reform społecznych ani gospodarczych nie propagował Konarski przed szerszym forum, bo wiedział, że zagubiłby tym reformy polityczne. Dopiero na sejmikach szkolnych przez usta swych pomocników domagał się wolności dla chłopów oraz praw politycznych dla mieszczan, starając się oswoić z tą ideą umysły. Całą siłę swej argumentacji skierował na jedną tamę, która zagrażała rozwojowi państwa. Wiedział, że gdy ona runie, potok reform popłynie z niepowstrzymanym pędem. A teraz chodziło mu o rzeczy podstawowe: o zdobycie dla państwa źródeł materialnych, które by podniosły produkcję przemysłową i rozbudowę siły zbrojnej.

Chodziło mu o rząd odpowiedzialny i jednolity, o ciągłość pracy i o system kolegialny.

ZAMACH STANU

Walka o przebudowę wypełniła następną epokę, stanisławowską i zrodziła konstytucję 3-go Maja wraz z jej przybudówkami.

Wszak ustawę 3-go Maja przemycono z wielkim trudem wśród opozycji zagranicznej i krajowej, drogą zamachu stanu. Król pruski domagał się, aby mu za tolerowanie reform zapłacono Toruniem i Gdańskiem. Rosja kończyła spiesznie wojnę turecką, aby przypomnieć swoją gwarancję. Opozycja targowicka kołatała do wszystkich bram, aby sprowadzić obcą interwencję.

I tak cudem było przetworzenie stada opętańców sejmowych z doby saskiej w karne szeregi entuzjastów reformy. Dokonać jednak tego można było tylko drogą zamachu stanu. Kilkunastu patriotów w najgłębszej tajemnicy uzgodniło projekt konstytucji na schadzkach w pałacu marszałka Małachowskiego (ostatnio Baczyńskich) na rogu Krakowskiego i Traugutta. Wciągnięto do spisku króla, obok którego najczynniejszymi współredaktorami konstytucji byli Pintoli, Kołłątaj, Ignacy Potocki i biskup Krasiński. Wiadomo było, że na posiedzenia sejmowe chodzi spośród 500 posłów i senatorów przeciętnie około stu kilkudziesięciu. Zwolennicy reformy czuwali. Wyzyskano czas świąteczny, przed przyjazdem reakcyjnych posłów z kresów wschodnich. Wiedziano, że w stolicy na 182 przebywających posłów jest

KONSTYTUCJI 3 MAJA

110 zwolenników i 72 przeciwników. Zredagowano regulamin głoszący, że każdy projekt musi być wydrukowany i rozdany posłom do przemyślenia na trzy dni przed dyskusją. Tutaj, przeciwnie, zaskoczono oponentów i pobudzono ich do czynu odczytaniem specjalnie dobranych depesz o grożącym jakoby nowym rozbiorze kraju. Wreszcie wywarto silny nacisk na sejm, odpowiednio zrewolucjonizowawszy mieszczaństwo, które obsadziło galerię i zapełniło plac Zamkowy, wejścia i korytarze. Dopiero przy takiej inscenizacji udało się narzucić nowy ustrój. Czyż można było uczynić coś więcej. Każde przekręcenie struny groziło spetardowaniem całego projektu.

Zamiast entuzjazmu, z jakim kraj powitał reformę, spotkałaby się ona z ogólnym protestem.

DUCH USTAWY

Czerpiąc natchnienie z debat francuskiej Konstytuanty, ale wyprzedzając jej konstytucję, nasi prawodawcy oprawili swoją Ustawę w piękną formę, sprecyzowaną niezwykle jasno i zrozumiale. Docent Leśnodorski powiada, że „w historii prawa politycznego nie ma drugiego przykładu tak propagandowego ujęcia tekstu konstytucyjnego we wszystkich jej artykułach". Ustawę cechuje umiar i harmonia.

Art. V utrwalał nowoczesną Rousseau'a tezę, że „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu".

Trzeba pamiętać, iż Konstytucja 3 Maja była pierwszą w Europie, a drugą na świecie po konstytucji Stanów Zjednoczonych A. P., gdyż konstytucja angielska była zwyczajową a niepisaną, a francuska uchwalona została ostatecznie dopiero 8 września 1791 r. czyli w 4 miesiące po naszej.

Prawodawcy nasi dali Rzeczypospolitej rząd jednolity, znosząc unię i wcielając Litwę do Polski z zapewnieniem tamtejszym ziemiom tylko szerokiego samorządu. Ale w szczegółowych ustawach Sejm tę zasadę nieco spaczył, tworząc dwie armie i dwa skarby.

Zgodnie z tezą Monteskiusza konstytucja przeprowadza podział rządu na trzy władze równorzędne: *prawodawczą*, którą sprawuje sejm, złożony z senatu i posłów ziemskich, reprezentujących całe państwo, *wykonawczą*, którą reprezentuje król i Straż praw, i *Sądowniczą* z niezawisłymi sędziami. Sejm jest wiecznie „gotowy", obraduje co 2 lata lub w nagłej potrzebie. Głosuje większością. Veto i konfederacje zostają uchylone.

Władzę wykonawczą sprawuje król, „dziedziczny przez osoby, elekcyjny przez familię". Następcą Stanisława Augusta miał być Fryderyk August Saski, a po nim córka jego, „infantka polska". Król rządzi przy pomocy mianowanej przez siebie „Straży praw", złożonej z prymasa i pięciu ministrów, ale decyzje króla przeważają. Straż praw jest właściwie tylko organem, dozorującym zgodność zarządzeń królewskich z konstytucją. Król jest nieodpowiedzialny i nie wolno wypowiadać mu posłuszeństwa. Natomiast ministrowie odpowiedzialni są zarówno przed sądem jak i przed sejmem. Ustępują na żądanie 2/3 połączonych izb, ale pod sąd oddawani są zwykłą większością. Królowi przysługuje prawo inicjatywy ustawodawczej.

Konstytucja francuska 1791 r. zapewniała monarsze prawo veta. Zmniejszono też wpływ króla na skład senatu: sejmiki ziemskie wybierały po dwóch kandydatów na krzesła senatorskie i król z nich wybierał.

Kontrolę narodową nad rządem konstytucja ustaliła ze zdumiewającą starannością, mianowicie sejm ma na początku każdej sesji zwyczajnej odbywać systematyczne głosowanie nad tym, kogo utrzymać na stanowisku ministerialnym, a kogo oddalić. Dobór ministrów należał do króla, ale powoływanie ich następować mogło tylko w sejmie i sejm mógł natychmiast odmówić zaufania.

Sejm miał możność zmiany i uchylania wszelkich aktów rządowych. Miał też prawo dowolnego zmieniania dowódców armii..

Sąd zaś był stróżem ustalonego porządku oraz cenzorem dobrych obyczajów. Wojsko składało przysięgę na wierność „Narodowi i Królowi i na obronę Konstytucji Narodowej". Nie cały naród ma prawo głosowania do sejmu, ale wojsko jest jego pierwszym organem. Wszyscy obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych". Słychać tu już wydźwięk francuskiego „citoyen".

„Gołotę" tj. szlachtę nieposiadającą ziemi (czynszowników, dzierżawców, szlachtę dworską i służebną) wykluczono od wyborów sejmikowych. Prof. Balcer słusznie widział w tym przejście od zasady rodowej do nowoczesnej zasady cenzusu majątkowego, zasady burżuazyjnej.

Pozwolono dyzunitom otworzyć kościół autakefaliczny, niezależny od Moskwy. Metropolitę unickiego wprowadzono do senatu.

Jeśli chodzi o reformy społeczne, to mieszczanie „królewscy" czyli większych miast, uzyskali nietykalność osobistą, wolność nabywania dóbr ziemskich, dostęp do urzędów, rang i godności, ułatwioną nobilitację (na każdym sejmie 30 mieszczan posesjonatów miało być nobilitowanych), samorząd, przedstawicielstwo przez plenipotentów w asesorii, komisjach rządowych oraz w sejmie, ale tylko w sprawach miejskich, i to z głosem doradczym.

Zdjęto odium z zajęć mieszczańskich i pozwolono szlachcie zajmować się handlem i rzemiosłem.

Najmniej dawała ustawa chłopom, gdyż brała tylko w opiekę prawną umowy, dobrowolnie zawarte przez dziedziców. Zbiegłym z zagranicy do Polski zapewniała wolność osobistą i prawo osiedlania się w miastach i wsiach. To było konieczną odpowiedzią na podobne zarządzenia sąsiadów, ściągających do siebie w ten sposób ręce robocze.

Komisja policji i komisja porządkowa powiatowa miały w razie potrzeby przesyłać dziedzicom „rady" i „ostrzeżenia" oraz obowiązki „ludzkości" wobec poddanych.

Wreszcie ustawa o sprzedaży królewszczyzn z 23 kwietnia 1792 r. zapewniała włościanom tych dóbr własność wieczystą gruntów i wolność osobistą.

OPINIA ŚWIATA

Zapewne, że to bardzo mało, ale więcej w ówczesnych warunkach prawodawcy dać nie mogli, gdyż położyliby całe dzieło konstytucji. Nie znaczy to jednak, aby ci ludzie nie myśleli o reformie włościańskiej. Ale wiązało się to z takim przewrotem gospodarczym i psychicznym w umysłach warstw, iż wymagało stabilizacji stosunków krajowych wewnętrznych i zewnętrznych. To było zdanie nie tylko zacofanej szlachty w Polsce, ale i najświatlejszych umysłów w Europie. Wszak Rousseau pisał w swych „Uwagach nad rządem Polskim": „Nie twierdzę, aby należało pozostawić rzeczy bez zmiany, sądzę jednak, że należy dotykać ich tylko z największą ostrożnością. Wyzwolenie ludu w Polsce to wielkie i piękne przedsięwzięcie, lecz śmiałe i niebezpieczne i nie można się o nie pokusić bez należytego zastanowienia"...

Na razie trzeba się było zadowalniać surogatami. Wszak szereg magnatów oczynszował chłopów i zwolnił ich z poddaństwa. Takie umowy miały teraz wiązać obie strony: dziedzice nie mogli zmieniać raz zawartej umowy.

Dawanie wolności zbiegom nie było również rzeczą całkowicie błahą, jeżeli Rosjanie, wysuwając swe pretensje rozbiorowe, żalili się o przyjęcie polskiego poddaństwa 300.000 chłopów z Rosji. Żalił się również na emigrację do Polski chłopów pruskich Fryderyk II.

Zresztą uzupełnieniem ustawy majowej był Uniwersał Połaniecki.

Nie można nigdy oceniać przeszłości z punktu widzenia teraźniejszości. Każdą reformę umożliwiają dopiero odpowiednie warunki, nie zapominajmy, że we Francji było 6 milionów mieszczan w dobie Wielkiej Rewolucji i 170.000 szlachty, a u nas 500.000 mieszczan (jak oblicza Korzon, ja sądzę, że mniej) i milion szlachty. Toteż w ocenie konstytucji majowej najbardziej miarodajne są współczesne sądy czołowych przedstawicieli myśli politycznej: powitali ją radośnie zarówno angielscy parlamentarzyści Edmund Burke Mackintosh, „jak przyjaciel ludzkości" sławny Tomasz Payne, jak wreszcie radykali francuscy wysokiej miary Valney i Siéyè. Chwalili wreszcie Szwedzi, którzy przed 20 laty dokonali reformy bardziej autokratycznej.

WIELKA CHWILA POLSKIEJ REWOLUCJI



Delegacja mieszczan z Dekertem na czele, udaje się do Sejmu, by przedłożyć swoje postulaty

PREMIERA W OPERZE POZNAŃSKIEJ

Teatr Wielki w Poznaniu wystawił po raz pierwszy po wojnie operę Verdi'ego „Aidę".

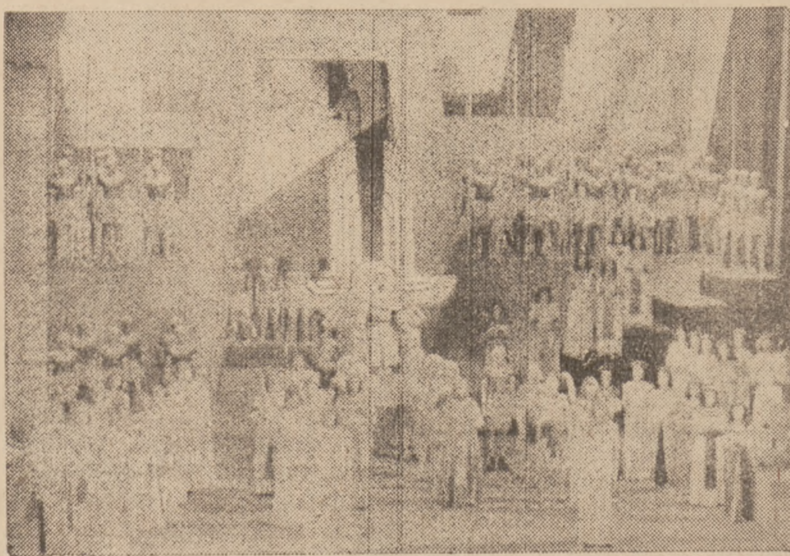
Operę wystawiono wielkim nakładem pracy tak, że strona muzyczna i dekoracyjna stanęły na najwyższym poziomie artystycznym i według fachowej oceny tamtejszej prasy nie było dotychczas w Polsce tak pięknie wystawionej „Aidy".

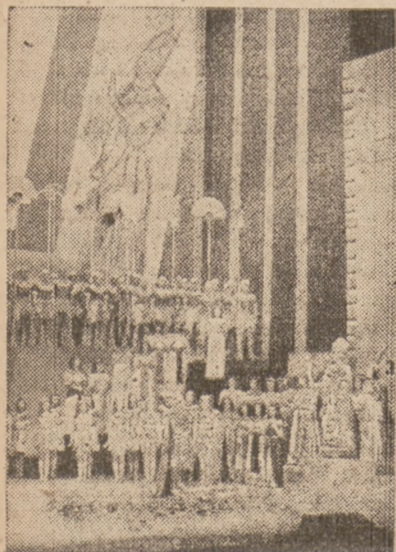
Obsady poszczególnych ról w najlepszym składzie. Partię tytułową śpiewała Dr Stani Zawadzka, Radamesa — Józef Woliński, Amneris — Emma Szabrańska, Króla — Witold Szpingler i inni. W operze bierze udział niezależnie od tego cały zespół szkoły baletowej i armia statystów.

Kierownictwo Muzyczne spoczywa w niezawodnych rękach Dyr. Zygmunta Latoszewskiego, reżyseria Marii Janowskiej-Kopczyńskiej.

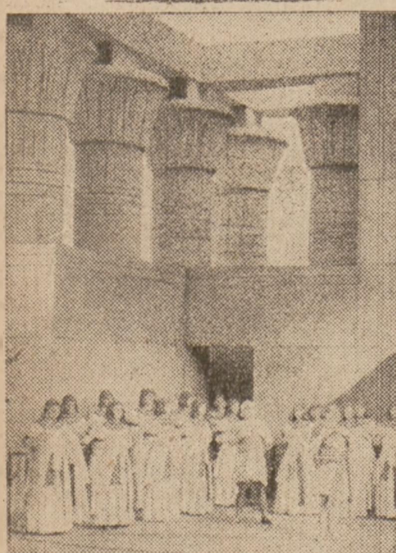
Inscenizacja plastyczna art. malarza Zygmunta Szpingiera.

Choreografia układu baletmistrza Jerzego Kaplińskiego przy współudziale primaballeriny Barbary Bitnerówny.









Nasze zdjęcia przedstawiają piękne fragmenty z opery a mianowicie: Radamesa w świątyni (Józef Woliński) scena (dwa fragmenty) z królem Faraonem (W. Szpingler) oraz akt koronacyjny z udziałem całego zespołu.

ST. K.

ARTUR SANDAUER

NOWOCZESNA POEZJA DLA DZIECI



Rzadko czytuję bieżącą literaturę dziecięcą. Dość mam kłopotu z tą dla dorosłych. Jest jednak pewien zbiór wierszy dla dzieci, który po dziś dzień przejmuje mnie nieodmiennym zachwytem i zawsze skutecznie odnawia we mnie zapomniane dziecko. Myślę o wierszach dziecięcych Tuwima. Czytam strofkę:

Abecadło z pieca spadło,
O ziemię się hukło,
Rozsypało się po kątach:
Strasznie się potłukło

i oto pogrążam się w tak miłej duchowi krytycznemu pracy wynajdywania zagadnień, pytań, trudności. Dlaczego dzieci mówią: „Abecadło z pieca spadło"? Czyżby dla dziecka podobieństwo dwóch słów dowodziło pokrewieństwa ich znaczeń? Czyż nie w tym kryje się tajemnica działania kalamburu, dowcipu, rymu, że — jak zauważył już Irzykowski — tam, gdzie istnieje tylko zgodność kształtów, one dotwarzają fikcyjną symetrię treści, że biorą świat — dosłownie? W słowie „przekomarzać" odnajduje dziecko komara, zabalsamowanego w etymologii jak w bursztynie.. Gdy my w swej dorosłej niecierpliwości odrzucamy czym prędzej formę, łupinkę wyrazu, by dobrać się do treści, ono błądzi poprzez gąszcz narastających spółgłosek, gubi się i odnajduje w manowcach samogłosek, potyka o wykroty zbitek i dyftongów, drżąc z rozkosznej grozy w tym gramatycznym lesie. I nie tylko w wyrazach, lecz w poszczególnych literach odnajduje, ślabizując lub gryzmoląc je mozolnie, przed ich znaczeniem — ich kształt. B to taki pan brzuchaty... I to drągal, chudeusz, S to kulas nieszczęśliwy, kuternoga. Jak widzimy, dziecko jest nie tylko dadaistą, lecz i formalistą.

A może należałoby powiedzieć po prostu — poetą? I że poezja wszech ludów i czasów miała w sobie te składniki, które dziś poeci poszufladkowali, nabili w butelkę i oblepili etykietkami, postanawiając sobie i nakazując srogo innym, aby nie ważyli się zażywać z innej flaszeczki, prócz tej jednej — przez nich poleconej. Przerzućcie tom Rabelais'go, a znajdziecie tam wszystkie, zachwalane dziś, medykamenta stylistyczne. A jednak nie znam — skatologii nie pomijając — książki bardziej dziecinnej... Toteż pisząc dla dzieci, nie trzeba się zniżać, ograniczać, lecz po prostu: pisać dobrze, może mniej uczenie w formie, lecz bez żadnego uchybienia dla treści. Co mnie szczególnie zachwyca w wierszykach dziecięcych Tuwima, to, że odnajdnję w nich tematykę jego poematów „dorosłych", nie umniejszoną w niczym, lecz tak pewną i pełną, że dostępną już — sześciolatkom. Wszelka doskonałość prowadzi ku prostocie i — powiedzmy to jasno — ku banałowi. Goethe jest banalny i Racine; literatura starożytna roi się od komunałów. I nie należy sądzić, że została ona zbanalizowana przez czas i nasze przyzwyczajenie; lecz zrodziła się ona od razu w języku dostępnym każdemu — na tematy ogólnie dostępne. Idee poetyckie Tuwima osiągnęły tę pełnię i doskonałość, że mogą wcielić się w wierszyki bez znacznego uszczerbku. Na upartego (i nawet niezbyt upartego) możnaby wykazać, że w „Panu Tralisławie Tralalińskim" (którego żona zwie się Tralalona, córka Tralalurka, piesek Tralalesek itp.) mieści się w skrócie cała filozofia poetycka Tuwima. Wszystkie przedmioty są tu właściwie takie same, jak w życiu codziennym i nazywają się prawie tak samo, tylko, że poprzedza je znak muzyczny, klucz wiolinowy, owo „trala", nadające im sens odrębny i przenosząc w świat odmienny. A czy pamiętacie wiersz Tuwima: „Gdy wiem, że wiersz powstanie W klamrę nawiasu zamykam Świat A przed nawiasem stawiam Znak funkcji, czynnika?" To trala wszędobylskie jest tu owym czynnikiem, który stoi przed nawiasem wszystkich słów i przemienia je na muzykę. A czymże jest wierszyk „Raz komar się z komarem przekomarzać zaczął", jeśli nie wykonaną na dziecinnych cymbałkach fantazją etymologiczną, wywodzącą się z tych samych, co słynna „Zieleń", pokładów! A historia o abecadle, które z pieca spadło i o metamorfozach liter czyż nie przypomina tragedii owego „W" z „Rzeczy czarnoleskiej, które, wtopione w szybę wędliniarni, kocha się nieszczęśliwie w pannie sklepowej?

Mój Boże — zawoła ktoś — toż wy robicie z tych dzieci przedwczesnych futurystów. Tak, ale nie zapominajmy, że dzieci były nimi — przed Martinettim.

KRONIKA KULTURALNA

HELENA ROMER (Ochenkowska) zmarła w Toruniu. Kto wie, czy nazwisko jej mówi coś dzisiaj szerszej publiczności? Wojna dokonała ogromnych przesunięć i w pamięci naszej i w katalogach nazwisk: wielu ludzi, głośnych przed wojną, dziś już zapomnianych, i wielu ludzi nowych wystąpiło na widownię; zwykła to kolej wypadków, które w okresach przełomowych szczególnie się nagromadzają i kondensują. Zresztą, zasięg sławy Heleny Romer nigdy nie był zbyt wielki. Może przed pierwszą wojną światową czytana była w Polsce jej powieść „Majaki", wydana w Warszawie r. 1910. Ale i ona sama nie szukała rozgłosu. Była to wilnianka z krwi i kości — ściślej nawet, pochodziła z owej inflanckiej rodziny zasłużonych Romerów, rodziny, która dała krajowi niejednego dzielnego obywatela. Ojcem Heleny Romer był Alfred Romer (1832—1897), sybirak i ceniony w swoim czasie rzeźbiarz i malarz, uczeń Rusieckiego, a poprzez niego sięgający tradycjami artystycznymi do Rustema, Helena Romer, paryżanka z wykształcenia i wychowania, w Paryżu bowiem ukończyła „Ecole des Hautes Etudes Sociales", całe swe późniejsze życie spędziła w Wilnie, poświęcając się głównie publicystyce. Rozkwit jej działalności dziennikarskiej przypada na lata 1919—1939. Jak mało kto, znała stosunki na Wileńszczyźnie i ludzi tamtejszych, o których napisała trzy ładne książki: „Swoi ludzie" (1921), „Książka o nich" (1922) i „Tutejsi" (1931). Była w całym znaczeniu słowa pisarką regionalną, nieumęczoną publicystką, której artykuły były zawsze odbiciem i wyrazem życia „krajowego". Przed dwoma laty przybyła jako repatriantka do Torunia, dokąd, jak wiadomo, przeniesiony został uniwersytet wileński. Podeszła wiekiem i schorowana w czasie wojny, dokończyła tu swego pracowitego życia.

CZY DA SIĘ „dokładnie zanalizować" w 55-ciowierszowym artykuliku tak złożone zjawisko w historii Czech, jakim był husytyzm? Wydaje się to wyczynem, przerastającym możliwości badacza. A jednak dokonał go p. Władysław Urbańczyk w Nr 3 „Życia Słowiańskiego". „Dokładna analiza" polega na tym, że p. Urbańczyk wykrywa, iż „urządzenia husyckie były zarodkiem dzisiejszej demokracji" („A pamiętajmy — dodaje sentymentalnie — że był to wiek piętnasty"); że „w Czechach husyckich przejął władzę wolny lud... który mógł oddawać lub odbierać koronę obieralnemu królowi". To ostatnie twierdzenie trąciłoby jakoś anarchią staropolską. Mniejsza z tym. Ważniejsze jest, że „rozwój husytyzmu został znacznie przyśpieszony przez odpadnięcie szlachty", oraz że „obecne doskonałe przygotowanie narodu czeskiego do teraźniejszych warunków i do funkcjonowania demokratycznego rozwoju" (co za styl!) jest rezultatem... tradycji husyckiej. Nie będziemy kruszyć kopii o „odpadnięcie" szlachty czeskiej. „Odpadła" ona istotnie ,acz nie w czasach husytyzmu, lecz znacznie później. Po spaleniu Husa (r. 1415), jak powiada historia — „zwolennicy jego, stanowiący znaczną część szlachty czeskiej i morawskiej, utworzyli husycki związek panów", który długo walczył z „katolickim związkiem panów". Pomińmy jednak te perypetie historyczne. Czesi czczą Husa po dziś dzień — rzecz jasna — jako męczennika i bohatera narodowego. Ale swe „przygotowanie demokratyczne", ocalenie narodowości przed straszliwą germanizacją, uświadomienie ludu zawdzięczają przede wszystkim ruchom wolnościowym pierwszej połowy w. XIX, aż do momentu „Wiosny ludów" w r. 1848; zawdzięczają to takim działaczom ściśle ludowym, jak ich wielcy poeci i uczeni — Dobrovsky, Szafarzyk, Palacky, Hanka, Kollar. Oto właściwe początki demokracji czeskiej, wspaniale rozwijanej potem przez Riegera, przez radykalną partię Młodoczechów, przez Kramarza aż do Masaryka.

St. Łatka

KONGRES (VIII) WE FLORENCJI

(Opowiadanie historyczne)

— Carla, co ty tutaj robisz? — powiedział — późno już jest, zmęczona jesteś, idź spać! Gdzieś była po południu? Tak chciałem cię zobaczyć.

— Chciałeś mię zobaczyć? — powtórzyła jak gdyby znudzonym głosem — ojciec wysłał mnie z domu. Krzyczał teraz bardzo o jakieś sto lirów. Co to za sto lirów?

— Dałem twojemu ojcu à conto rachunku.

— On to jakoś inaczej rozumiał. Krzyczał okropnie. Czy on się wszystkiego domyśla?

— Gdyby się domyślał wszystkiego — powiedział cynicznie Emanuel — nie zadowoliłby się stoma lirami, o ile go znam.

— Ach, co ty mówisz- — Carla podniosła głowę z okna — on nie jest już taki podły.

— Myślę, że chciał na razie małego zadatku. Ale pomylił się w rachubie.

— Dlaczego jesteś taki zły?

— Mam dosyć twojego ojca. Jak ty możesz z nim wytrzymać?

— A dokądże ja pójdę? Mnie nikt nie chce — donna brutta e matura — uśmiechnęła się.

— Carla, moja Carla! — Krasowicz wziął ją za obie ręce zimne bardzo.

Ona raptownie przytuliła się do niego cała, głową przywarła do piersi i zapytała cichutko:

— Jedziesz jutro?

Krasowicz westchnął:

— Niestety, jadę. Obiecałem.

— O której?

— Samochód ma zajechać o siódmej...

— O siódmej? Rano?

— Tak. Musimy jutro ujechać spory kawał.

— Więc już cię nigdy nie zobaczę?

— Dziecko jesteś. Powiedziałem ci, że wrócę.

— Wrócisz — zaśmiała się cicho Carla — tobie się tak zdaje!

— Chodź, przejdziemy się jeszcze!

— Nie. Zimno bardzo... zmarzłam... i tak mi straszno:

— Carla!

— Straszno. Rozumiesz? Boję się.

— Czego?

— Wszystkiego. Życia potem, kiedy już odejdziesz. To będzie straszne.

— Carla...

— Kochałam cię przez dwa dni straszliwie.

— Kochałaś?

— Tak. Teraz już nie. Ale moje życie... zrozum.

— Ja rozumiem.

— I ta pustka.

— Wrócę. Słyszysz: wrócę.

— Ach, nie!

— Rozumiesz wrócę. A jeżeli nie wierzysz, powiedz jedno słowo, odeślę jutro samochód pani Soudray, zostanę, odrazu zostanę. Nigdzie nie pojadę. Zostanę przy tobie — jeżeli chcesz, na zawsze!

— Nie, nie. Jedź!

Carla siedząc z podkurczonymi nogami na krześle zwróciła się ku niemu, jak ksiądz przed błogosławieństwem. Małe, bezradne zwierzę, z pyszczkiem podniesionym ku jego oczom. Niby kurczę czekające na cios śmiertelny bez zmrużenia oka. Bez słowa ogarnął ją ramieniem i podniósł z krzesła ku sobie.

Spał bardzo źle i od szóstej już począł się ubierać. Ogolił się zimną wodą, ranek za oknem się zachmurzył, patrzył na Porta San Niccolo z uczuciem, że żegna wszystko. Trzy dni, a jak bardzo zżył się z tym widokiem. Luccia, domyślając się, że wyjeżdża, poczęła gorliwie krzątać się koło niego, kręcić się po przedpokoju. Przed czasem przyniosła mu kawę, ale nie mógł nic przełknąć, w gardle miał popiół, w oczach piasek. Czuł nadchodzącą migrenę i straszne szarpanie nerwów. Punktualnie o siódmej usłyszał trąbkę przed domem. Wychylił się i zawołał do szofera:

— Je descends tout de suite...

Zauważył, że szofer nie był sam, ale nie miał czasu namyślać się nad tym. Narzucił swoje płócienne palto i pewnym krokiem skierował się w stronę kuchni. Nie było tam nikogo. Bez pukania wszedł do pokoiku Carli. W dziennym świetle wydał mu się jeszcze uboższy. Drewniane białe łóżko stało nienaruszone. Poza tym nie było innych mebli w pokoiku prócz dwóch krzeseł. W kącie za jednym z tych krzeseł, schowana jak za kratą klęczała Carla, z twarzą przyklejoną do ściany. Widać było, że się od wczoraj nie rozbierała.

Manu ukląkł obok niej, odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła nie otwierając oczu, jak kwiat, który się od słońca rozwija. Wyciągnęła ręce do niego.

— Jesteś — powiedziała jesteś! Myślałam, że odejdziesz bez pożegnania. Jeszcze przyszedłeś — gładziła go po rękawie, nie otwierając oczu.

— Carla, jakżebym się mógł nie pożegnać z tobą. Nie powiedzieć ci „do widzenia".

Siedzieli teraz na podłodze na przeciwko siebie, trzymając się za ręce jak małe dzieci.

— Dowidzenia — powiedziała Carla, nareszcie otwierając szeroko oczy.

— Dowidzenia. Za tydzień. Najdalej za dwa powrócę. Czekaj na mnie cierpliwie cały miesiąc. Po miesiącu będziesz się mogła niecierpliwić. Napiszę.

— Dziękuje ci, o dziękuję za wszystko — chciała całować go w rękę.

— Carla, niemądra, to ja ci dziękuję.

Objął ją i pocałował dziecinnie w policzek.

— Muszę już iść, samochód czeka.

— Idź, idź — powiedziała. I nagle zatrzymała go za rękaw i zapytała, odwracając się do ściany — a jeżeli będzie dziecko, twój syn, to jak chcesz, żeby go nazwać?

— Carla, ty nie rozumiesz, ja przecież wrócę!

— Nazwę go Emanuelem? Dobrze?

Objął ją szerokim uściskiem i tak przez chwilę siedzieli wsparci o ścianę. Potem musiał już iść. Wstał, a ona opadła bez siły znowu w tym kącie, pod ścianą, za krzesłem. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez całe mieszkanie, nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenie brudnej Lucii, która siedziała w kuchni. W przedpokoju natknął się na Lucchesiego. Skurczony i blady, woskowo żółty raczej, stał w niebieskiej piżamie, mnąc biały papierek rachunku w ręku. Krasowicz powiedział mu „dzień odbry", wszedł do swojego pokoju po walizkę i powrócił do gospodarza. Postawił walizkę i wziął rachunek do ręki, aby zapłacić. Rachunek był nieduży, ale sto lirów à conto w nim nie figurowało.

Wyjął pieniądze i zapłacił. Przez cały czas unikali nawzajem swojego wzroku. Lucchesi zwiesiwszy głowę, jak chora papużka, patrzył na bok. Krasowicz omijał go spojrzeniem, prześlizgiwał się i wpatrywał to w banknoty, to w rachunek. Lucchesi obojętnym ruchem schował liry do kieszeni. Krasowicz podał mu rękę.

Wówczas Lucchesi, jakby w bolesnym napięciu, podniósł się na końcach palców i z wielkim wysiłkiem spojrzał Krasowiczowi w oczy. W jego wzroku widniało intensywne naprężenie, pytanie.

— Signor Polacco — powiedział, z trudnością wydobywając słowa ze zduszonego gardła i jąkając się lekko — czy pan się z nią... nie ożeni?

Przy ostatnim słowie skurcz go schwycił za gardło. Krasowicz miał na tyle przytomności umysłu, że potrząsnął serdecznie ręką starego Włocha i powiedział ze sztuczną wesołością:

— Panie poruczniku, przecież za tydzień wracam i wtedy o wszystkim pogadamy!

Chwycił walizkę i zbiegł czym prędzej do samochodu.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy w osobie siedzącej obok szofera rozpoznał Luśniaka. W jakimś nieprawdopodobnie kraciastym palcie, w kolorowej czapce na głowie był nie do poznania. Krasowicz miał ochotę się cofnąć.

— No, nareszcie pan przyszedł — zawołał wesoło Luśniak — czekaliśmy dość długo. Ale to nic nie szkodzi, będziemy musieli i tak czekać na panią Soudray. Bardzo się cieszę, że się pan zdecydował na tę podróż... z nami.

I tutaj i przed hotelem pani Soudray, a potem w całej podróży Luśniak grał rolę gospodarza — i bez trudności mu to przychodziło. Na Joannę czekali dwie godziny. Krasowicz nie przestawał myśleć, że przez ten czas mógł być z Carlą; wyobrażał sobie budzące się życie pensjonatu, kawę u profesora Cielińskiego, pannę Goethe w papilotach. W pewnej chwili z hotelu wyszła austriacka poetka i obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. Gdy składał jej ukłon z tego francuskiego, dobrze wszystkim znanego samochodu, zapalił go rumieniec wstydu. Luśniak bawił go jak mógł z prostą serdecznością w głosie, jakby rozumiejąc, co Emanuel przeżywa.

Gdy wreszcie pani Soudray wyszła, nawet nie potrafił się ucieszyć. Była piękna, jak zawsze, ale jej uśmiech drażnił go i nudził. Migrena zaatakowała go natychmiast po wyjeździe z miasta, w dodatku pani Soudray nie pozwoliła otworzyć okna w samochodzie. Szofer gnał jak szalony. Krasowicz lękał się trochę tego pędu i uważając na każdy zakręt drogi, z pękającą od bólu głową, nie mógł być rozmowny. Toteż Luśniak gadał za siebie i za niego, przewieszając się przez oparcie. Cierpienie Emanuela jak gdyby napełniało panią Soudray niechęcią. W Bolonii Luśniak przesiadł się do środka. Pani Soudray nie pozwoliła nigdzie stanąć, wieczorem już minęli granicę w Brenerze i jadąc całą noc, rano stanęli w Rothenburgu. Krasowicz zwalił się w jakimś hotelu do łóżka i nie można go było dobudzić przez 24 godziny. Wstał wreszcie wypoczęty i wyświeżony, w momencie, kiedy mieli jechać dalej. Nic nie widział z Rothenburga. Nareszcie młodość wzięła swoje, był wesoły i rozmowny: pomimo pewnej chmury, jaka zawisła nad czołem pani Soudray, trzeba było przyznać, że było im bardzo dobrze we trójkę, a właściwie we czwórkę, bo szofer w podróży mimo woli też należał do towarzystwa. Tym bardziej jednak Emanuel począł tęsknić do Carli i do Florencji.

Dwa dni spędzili w Würzburgu, trzy dni w Heidelbergu. Wzgórza pokryte bukowymi i kasztanowymi lasami, ciemno rude o tej porze, wydawały się przepiękne: Winnice także były pokryte brązowymi liśćmi i czyste, zielono malowane domki mijanych wiosek były pełne kolorowych kwiatów i dzieci. Wszystkie piękne widoki poruszały Krasowicza do łez i gadając z towarzyszami podróży, bez przerwy myślał o pensjonacie na placu Giuseppe Poggi.

Musiał wreszcie skapitulować przed dobrocią i uprzejmością młodego muzyka. Z pozorną wulgarnością, a w gruncie rzeczy bardzo delikatnie opiekował się nim, domyślając się potrosze, co się z nim dzieje. Gdy pani Soudray szła na spoczynek, albo kiedy wiecznie czekali na nią w hallach hotelowych lub w samochodzie, mieli dosyć czasu na długie pogawędki. Stali się przyjaciółmi.

Krasowicz po paru dniach zrozumiał, że pani Soudray przestała się nim interesować i że Luśniak ubiegł go jeszcze we Florencji. Cała podróż jest tylko dobroczynnością dla niego. Był w rozpaczy. Pieniędzy zostało mu tylko tyle, co na powrót do kraju. Mowy nie było o tym, aby móc wrócić choć na parę dni do Florencji. A czuł, że musi wrócić, że inaczej żyć nie może, że Carla stawała się dla niego czymś tak potrzebnym, jak powietrze. Bawił się kluczami pensjonatu, które miał w kieszeni, zabrał je ze sobą, żeby mieć pewność powrotu. I nie mógł wrócić.

Tak dojechali do Frankfurtu, gdzie bawili parę dni. Pani Soudray nie czuła się dobrze, leżała w łóżku i nie wpuszczała do siebie nikogo prócz szofera, pięknego Henri, który pełnił częściowo także funkcje pokojówki. Krasowicz i Luśniak mieli teraz całe dnie dla siebie, przesiadywali godzinami w hotelu wspaniałym, okrytym dywanami, szerokim, ciepłym i jasnym. Luśniak przegrywał w bibliotece Krasowiczowi swoje utwory. Chodzili na spacery platanowymi alejami nad Menem, patrząc jak żółte, płaskie liście spadały na szare fale rzeki. Niemcy wówczas snobowali się na Amerykę i „jazz", chodzili do teatru na „jazzowe" opery, pomieszane z resztkami Wagnera. Słuchali „jazzu" w przestronnej, okazałej, buddenbrokowskiej restauracji staroświeckiego hotelu, w jakim mieszkali. Cóż dziwnego, że Krasowicz chcąc bez przerwy mówić o Carli wszystko opowiedział Luśniakowi. Luśniak odwzajemniał się zwierzeniami. Domysły Krasowicza co do pani Soudray okazały się słuszne. Zresztą wolał sam opowiadać, to choć trochę zagłuszało tęsknotę do tamtego miasta. Wzgórze fiezolańskie, miodowej barwy Porta San Niccolo, różowa kopuła Santa Maria del Fiore ciągnęły go nieprzeparcie. Zwierzył się Luśniakowi ze swoich kłopotów pieniężnych.

— Czekaj pan, czekaj pan — powiedział Montezuma — będziesz pan miał pieniądze. Wprawdzie gotówką nie śmierdzę, ale mamy jeszcze coś nie coś. Pojedziesz pan do swojej Carli, a dokąd mnie zabierze „comtesse Je-Voudrais", to nie mam pojęcia. Zobaczymy się w Warszawie.

Nazajutrz przyniósł mu sporą sumę pieniędzy. Emanuel domyślił się, że mógł to zrobić jedynie kosztem pierścionka z szafirem, jaki znikł z palca młodego kompozytora.

— Boże drogi — westchnął Krasowicz, który nigdy nie wierzył w kupienie tego pierścionka przez Luśniaka — a co pan jej powie?

— Powiem jej, że zgubiłem, czy co... Ale swoja drogą nie spodziewałem się, że to taki cenny kamień. Patrz pan to tylko połowa, co ja panu daję.

— Oddam to panu w Warszawie.

— Nie ma o czym gadać, niech pan podziękuje Joasi.

Podziękował długim, czułym listem. Gdyby wiedział, że to się tak skończy! Czym prędzej wpakował się do expressu i gnał ze ściśniętym sercem z powrotem, przez Szwajcarię, Dommod'Ossolę, Mediolan.

Do Florencji przyjechał późnym wieczorem po dziesięciu dniach nieobecności. Kazał się wieźć natychmiast do pensjonatu Lucchesi. Nie mógł jednak wchodzić w nocy jak złodziej przy pomocy zabranych kluczy. Zadzwonił więc na dole; dzwonek zadźwięczał głośno gdzieś w górze i w samym jego dźwięku było coś obcego. Ze zdziwieniem zauważył, odejmując dłoń od rączki dzwonka, że brakowało w tym miejscu marmurowej tabliczki z napisem: „Pensione Lucchesi". Pamiętał ją doskonale w momencie, kiedy zadzwonił tutaj po raz pierwszy. Pociągnął za drut raz jeszcze i jeszcze. Dzwonek brzęczał jękliwie w pustce. Wreszcie otworzyło się okno na pierwszym piętrze i senny męski głos zawołał:

— Kto tam?

— To do „Pensione Lucchesi".

— Nie ma tu już pensjonatu.

— Jakto nie ma?

— Nie ma. Wynieśli się.

— Kiedy?

— Wczoraj wyjechali.

— Dokąd wynieśli się?

— A nie wiadomo.

— Kto wie?

— Nikt nie wie. Podobno do Pizzy czy do Ferrary.

— Do Ferrary?

— No, mówię panu, nie wiem. Niech pan nie dzwoni.

Okno zamknęło się.

Krasowicz, nie namyślając się nad tym, co pomyśli szofer, otworzył z klucza drzwi na dole i poleciał na górę. Drzwi wejściowe otwarły się z łatwością i z łatwością przekonał się, że wszystkie pokoje są putse. Zapalał zapałki i oglądał ciemne pokoje, tapety były jeszcze bardziej podarte, żaluzje zapuszczone, na podłodze kawałki sznurów, papiery, strzępy książek, słoma. Na posadzkach odbiły się ślady szaf panny Goethe, które tu stały przez tak długie lata. W kuchni leżało jeszcze troche drzewa, a w małym pokoiku za kuchnią, nie wiadomo dlaczego, pozostawiono jeszcze owe dwa wyplatane krzesła, za którymi Carla wyglądała jak zwierzę za kratą.

Jak pijany zeszedł na dół. Stanął przed domem, przytulił czoło do tego miejsca, gdzie widniała biała plama po zdjętym szyldziku z napisem „Pensione Lucchesi" i stał tak dość długo. Miał zupełną pustkę w głowie. Ktoś na górze, na Piazza, śpiewał znajome słowa:

„I kto do ciebie we śnie tak przychodzi"...

Szofer wreszcie zlitował się nad młodym człowiekiem wysiadł z samochodu i trącił go w ramię.

— Eh, Signor — zaśpiewał — pensione è chiuso!

— Tak, tak — powiedział Krasowicz — è chiuso...

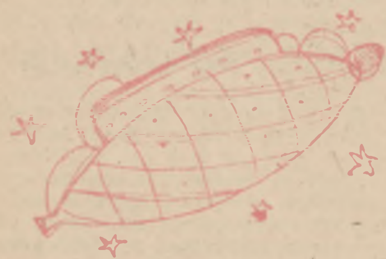
— Cóż pan tak stoi. Chodźmy, zawiozę pana do bardzo dobrego pensjonatu. Po tamtej stronie Arno. Będzie panu jak w raju.

— Dobrze, chodźmy — zdecydował się przemarznięty Manu.

(Dokończenie w następnym numerze)

Napisał
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATAJĄCE



Napisał
ANTONI CZECHOW
Tłumaczył i ilustrował
IGNACY WITZ

ROZDZIAŁ I

Odczyt

— Skończyłem, gentlemani!—rzekł mister John Luond, młody członek królewskiego towarzystwa i zmęczony opadł na fotel. Sala posiedzeń ożywiła się, rozbrzmiała głośnymi oklaskami i okrzykami „Brawo". Gentlemani jeden po drugim zbliżali się do Johna Luonda i ściskali jego dłoń. Siedemnastu gentlemanów na do wód podziwu połamało siedemnaście krze seł i zwichnęło osiem długich szyi, należących do ośmiu gentlemanów, z których jednym był kapitan „Katawasii", jachtu o pojemności 100.009 ton.

— Gentlemani! — przemówił wzruszony mister Luond. — Uważam za najświętszy swój obowiązek podziękować wam panowie za piekielne męki, jakie znosiliście w ciągu 40 godzin, 32 minut i 14 sekund, słuchając mojej prelekcji! Tomie Becas — zwrócił się on do swego sługi — obudź mnie za pięć minut. Usnę na ten czas, w którym gentlemani usprawiedliwiać mnie będą za śmiałość spania w ich obecności!

— Słucham, sire! — odrzekł stary Tom Becas.

John Luond opuścił głowę i momentalnie usnął. John Luond był Szkotem. Nigdzie nie wychowywał się, nigdy, nigdzie i niczego się nie uczył, lecz wiedział wszystko. Należał do liczby tych szczęśliwych natur, które do poznania wszystkiego pięknego i wielkiego dochodzą przy pomocy rozumu. Zachwyt, jaki wywołał swym przemówieniem, był zasłużony w pełni. W ciągu 40 godzin przedstawił opinii PP. Gentlemanów wspaniały projekt, wykonanie którego zyskałoby dla Anglii ogromną sławę i dowiódł, jak daleko sięgać może myśl ludzka! „Przewiercenie księżyca ogromnym świdrem"—oto co było tematem odczytu mister Luonda.

ROZDZIAŁ II

Tajemniczy nieznajomy

Sir Lound nie zdążył przespać nawet trzech minut. Czyjaś ciężka ręka opuściła się na jego ramię. Obudził się. Stał przed nim gentleman o wzroście 48 i pół stopy, cienki, jak lanca i chudy jak zasuszona żmija. Zupełnie łysy. Ubrany cały na czarno, posiadał na nosie cztery pary okularów, a na piersiach i plecach wisiały mu dwa termometry.

— Proszę za mną! — grobowym głosem powiedział łysy gentleman.

— Dokąd?

— Proszę za mną, Johnie Luond!

— A jeżeli nie pójdę?

— Wówczas będę zmuszony przewiercić księżyc wcześniej od pana!

— W takim razie, sire, jestem do pańskich usług.

— Sługa pański podąży za nami!

Mister Luond, łysy gentleman i Tom Becas opuścili salę posiedzeń i w trójkę pomaszerowali po oświetlonych ulicach Londynu. Szli bardzo długo.

— Sire — powiedział Becas do mister Luonda — jeżeli droga nasza będzie tak długa jak ten gentleman, to na podstawie prawa tarcia, zostaniemy pozbawieni podeszew!

Gentlemani pomyśleli i po dziesięciu minutach stwierdziwszy, że słowa Becasa są dowcipne, zaśmieli się głośno.

— Z kim mam honor śmiać się, sire?— zapytał Luond łysego gentlemana.

— Ma pan honor, iść, śmiać się i mówić z członkiem wszystkich geograficznych, archeologicznych i etnograficznych towarzystw, magistrem wszystkich istniejących nauk, członkiem moskiewskiego kółka dramatycznego, honorowym protektorem szkoły krowich akuszerów w Southamptonie, prenumeratorem „Ilustrowanego czarta", profesorem żółto-zielonej magii i wstępnej gastronomii na przyszłym nowozelandzkim uniwersytecie, dyrektorem niedopytalskiego obserwatorium — Wiliamem Bołwaniusem. Ja prowadzę pana, sire, do...

John Luond i Tom Becas ugięli kolana przed wielkim człowiekiem, o którym słyszeli tak wiele i z szacunkiem skłonili głowy...

— Prowadzę pana, sire, do swego obserwatorium, znajdującego się w odległości 20 mil. Sire, milczenie jest ozdobą człowieka. Potrzebuję towarzysza do mojego przedsięwzięcia, znaczenie którego zrozumieć będzie pan w stanie tylko przy pomocy obydwu półkul pańskiego mózgu. Wybór mój padł na pana... Po czterdziestogodzinnym mówieniu nie zechce chyba pan wszczynać ze mną jakiekolwiek rozmowy, ja zaś niczego nie uwielbiam, oprócz mego teleskopu i długotrwałego milczenia. Język pańskiego służącego zostanie z pewnością ukrócony pańskim rozkazem. Niech żyje przerwa!!! Prowadzę was... Nie macie nic przeciwko temu panowie!

— Niczego, sire! Żal nam tylko, że nie jesteśmy szybkobiegaczami oraz że pod stopami posiadamy podeszwy, które kosztują i...

— Kupię wam nowe buty.

— Dziękuję, sire.

Kto z czytelników pragnie bliżej zapoznać się z osobą mister Wiliama Bołwaniusa, niech przeczyta jego wspaniały utwór „Czy istniał przed potopem księżyc? Jeśli istniał, to dlaczego nie zatonął". Do utworu tego załączona jest zakazana broszura, napisana na rok przed śmiercią: „Sposób starcia wszechświata na proszek i uniknięcia zagłady w tym czasie". W utworach tych doskonale scharakteryzowana jest osobowość tego najwspanialszego z ludzi.



Proszę nazwać mnie osłem, jeżeli nie widzę tych plam

Między innymi, opisany jest tam, dwuletni jego pobyt w australijskich zaroślach, podczas którego odżywiał się rakami, pajęczyną, jajami krokodylimi, nie widząc w ciągu tych lat ani razu ognia. Przebywając w zaroślach wynalazł on mikroskop, zupełnie podobny do naszego mikroskopu, i znalazł kręgosłup u ryb z rodziny „Riba". Po powrocie z długiej podróży osiadł w odległości kilku mil od Londynu i w zupełności poświęcił się astronomii. Będąc wrogiem kobiet (był trzy razy żonaty i dlatego posiadał trzy pary przepięknych rosochatych rogów) i nie chcąc przed czasem być ujawnionym, żył jak asceta. Posiadając wyjątkowy, dyplomatyczny umysł, urządził się tak sprytnie, że zarówno obserwatorium, jak i jego prace astronomiczne były znane tylko jemu samemu. Ku wielkiemu żalowi wszystkich prawomyślnych Anglików ten wielki człowiek nie dożył naszych czasów. W ubiegłym roku nastąpił jego cichy zgon: kąpiąc się w Nilu, został połknięty przez trzy krokodyle na raz.

ROZDZIAŁ III

Tajemnicze plamy

Obserwatorium, do którego wprowadził on Luonda i starego Toma Becasa, *następuje bardzo długi i nudny opis obserwatorium, którego tłumacz w celu ekonomii czasu i miejsca, uznał za stosowne nie przekładać...* stał teleskop, udoskonalony przez Bołwaniusa. Mister Luond zbliżył się do teleskopu i popatrzył na księżyc.

— Co pan tam widzi, sire?

— Księżyc, sire.

— A obok księżyca co pan widzi, mister Luond?

— Mam zaszczyt widzieć tylko księżyc.

— A czy nie widzi pan bladych plam, poruszających się obok księżyca?

— Niech mnie diabli porwą! Proszę nazwać mnie osłem, jeżeli nie widzę tych plam! Co to za plamy?

— To plamy, które widoczne są tylko przez mój teleskop. Wystarczające! Proszę zostawić teleskop! Mister Luond i Tomie Becas! Powinieniem i chcę wiedzieć, co to za plamy! Wnet zresztą tam



Sala posiedzeń rozbrzmiała głośnymi okrzy kami...

W Y S P Y

Parodia JULES VERNE'A

będę! Idę do tych plam. Podążajcie za mną!

— Hurra! Niech żyją plamy! — wykrzyknął John Luond i Tom Becas.

ROZDZIAŁ IV

Skandal na niebie

W pół godziny potem Wiliam Bołwanius, John Luond i Szkot Tom Becas lecieli już w kierunku tajemniczych plam osiemnastoma aerostatkami. Siedzieli oni w hermetycznie zamkniętej kabinie, w której znajdowało się zgęszczone powietrze oraz aparaty do wytwarzania tlenu *). Początek tego heroicznego, niebywałego dotychczas lotu został dokonany nocą 13 marca 1870 roku. Wiatr był południowo-zachodni. Strzałka magnetyczna pokazywała NWW... *(następuje bardzo nudny opis kabiny i osiemnastu aerostatów)*... w kabinie panowało głębokie milczenie. Gentlemani, owinięci w płaszcze, palili cygara. Tom Becas, rozciągnięty na podłodze, spał jak u siebie w domu. Termometr **) wskazywał temperaturę poniżej 0. W ciągu pierwszych 20 godzin nie zostało wypowiedziane ani jedno słowo i nic szczególnego nie zaszło. Balony dotarły do strefy obłoków. Parę błyskawic pomknęło za balonami, lecz nie mogło ich dopędzić dlatego, że należały one do Anglika. W trzecim dniu John Luond zachorował na czerwonkę, a Toma Becasa ogarnął spleen. Kabina uderzyła o skałę, otrzymując skutkiem tego potwornej mocy pchnięcie. Termometr wskazywał —76.

— Jak pańskie zdrowie, sire? — przerwał w końcu milczenie Bołwanius, zwracając się piątego dnia podróży do sir Luonda.

— Dziękuję, sire — odpowiedział wzruszony Luond — pańskie współczucie zachwyca mnie. Cierpię strasznie! Gdzież jest, o gdzież jest mój wierny Tom?

— Siedzi on obecnie w kącie, żuje tytoń i stara się wyglądać na człowieka, który ożenił się równocześnie z dziesięcioma kobietami.

— Ha, ha, ha, sir Bołwanius!

— Dziękuję, sire!

Nie zdążył mister Bołwanius uścisnąć dłoni młodego Luonda, kiedy stało się coś strasznego. Rozległ się potworny trzask. Coś huknęło, jakiś wystrzał z tysiąca dział, przenikliwy świst, piekielny hałas. Miedziana kabina znalazła się w strefie rozrzedzonego powietrza i nie wytrzymując wewnętrznego ciśnienia powietrza pękła, szczątki jej zaś uleciały w bezkresną przestrzeń.

To była straszliwa, jedyna w historii wszechświata minuta!

Mister Bołwanius chwycił za nogi Toma Becasa, ten ostatni zaś za nogi Johna Luonda i cała trójka pomknęła w niewiadomą dal. Balony wyzwolono z ciężaru oddzieliły się od nich i z trzaskiem pękły.

— Gdzie jesteśmy, sire?

— W eterze.

— Hm... Jeśli w eterze, to czym będziemy oddychać?

— A gdzież jest siła pańskiej woli, mister Luond?

— Misters! — wykrzyknął Becas. — Mam honor oświadczyć panom, że my z jakichś powodów lecimy nie na dół lecz do góry.

— Hm. Do stu tysięcy diabłów! To znaczy, nie znajdujemy się już w strefie przyciągania ziemi... Przyciąga nas do siebie księżyc, nasz cel! Hurra panowie! Sire Lound, jak pańskie zdrowie?

— Dziękuję, sire! To, co widzę, to na pewno ziemia, sire!

— Nie, to nie ziemia, a jedna z naszych plam! Niebawem rozbijemy się o nią!

Trrrrach!!!!!

ROZDZIAŁ VI

Wyspa Johannesa Hoffa

Pierwszy do przytomności przyszedł Tom Becas. Przetarł oczy i obejrzał okolicę, w której się znajdowali on, Bołwanius i Luond. Zdjął skarpetkę i zabrał się do rozcierania nią gentlemanów. Gentlemani nie omieszkali oprzytomnieć.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Luond.

— Jesteśmy na wyspie, należącej do grupy latających! Hurra!

— Hurra! Niech pan popatrzy, sire, do góry! Myśmy przewyższyli Kolumba.

Ponad wyspą latało kilka jeszcze innych wysp... *(następuje opis obrazu zrozumiałego jedynie dla Anglików)*... Udali się na obejrzenie wyspy. Była ona długa i szeroka *(cyfry i cyfry... Bóg z nimi)* Tomowi Becas poszczęściło się odnaleźć drzewo, sok którego przypominał rosyjską wódkę. Dziwne, że drzewa były niższe od trawy. Wyspa była bezludna. Żadna żywa istota nie dotknęła nigdy jej ziemi...

— Sire, proszę popatrzeć, co to takiego? — zwrócił się mister Luond do sir Bołwaniusa, podnosząc jakiś zwitek.

— Dziwne... Zadziwiające... Przerażające... — zawołał Bołwanius.

Okazało się, że zwitek jest ogłoszeniem niejakiego Johannesa Hoffa, napisanym w jakimś barbarzyńskim języku, zdaje się, że po rosyjsku.

W jaki sposób dostały się tutaj te ogłoszenia?

— Przekleństwo! — ryknął mister Bołwanius.—Tutaj był już ktoś przed nami?!! Kto to mógł być?! Przekleństwo! O! Rozgromcie gromy niebiańskie mój wielki mózg! Dajcie go w moje ręce! Dajcie mnie go! Przełknę go razem z jego ogłoszeniami.

I mister Bołwanius, podnosząc do góry ręce, dziwnie zachichotał. W oczach jego zalśnił podejrzany blask. Zwariował.



...i cała trójka pomknęła w niewiadomą dal.

ROZDZIAŁ VII

Powrót

— Hurra! — krzyczeli mieszkańcy Hawru, zapełniając wybrzeża zatoki Hawrskiej.

Powietrze pełne było wesołych okrzyków, dźwięków i muzyki. Czarna masa, grożąca wszystkim śmiercią, opuszczała się nie na miasto, lecz na zatokę...

Okręty oddaliły się głęboko w morze. Czarna masa, tyle dni zasłaniająca sobą słońce, przy wtórze świątecznych okrzyków ludu i dźwiękach muzyki, ważno (pessamment) upadła w zatokę i obryzgała całe wybrzeże. Upadając, zatonęła. W ciągu minuty zatoka była już otwarta. Fale rozbiegały się we wszystkich kierunkach... W środku zatoki zmagało się z falami trzech ludzi. Byli to: szalony Bołwanius, John Luond i Tom Becas. Wzięto ich do łodzi.

— Nie jedliśmy pięćdziesiąt siedem dni! — wyszeptał chudy, jak głodny artysta malarz, mister Luond i opowiedział, o co chodzi.

Wyspa Johannesa Hoffa już nie istnieje więcej. Przyjmując na siebie trzech odważnych ludzi, stała się cięższą i wychodząc z neutralnego pasa, została przyciągnięta przez ziemię i zatonęła w Zatoce Hawrskiej.

Zakończenie

John Luond zajęty jest obecnie zagadnieniem przewiercenia księżyca. Bliska jest ta chwila, w której księżyc upiększy się dziurą. Dziura ta będzie własnością Anglików. Tom Becas mieszka obecnie w Irlandii i zajmuje się wiejskim gospodarstwem. Hoduje kury i bije swoją jedynaczkę — córkę, którą wychowuje po spartańsku. Nie są też obce mu zagadnienia nauki: strasznie złości się na siebie za to, że zapomniał wziąć ze sobą z Latającej Wyspy nasion drzewa, którego sok smakiem swoim przypomina rosyjską wódkę.



Profesor Bołwanius

*) Wymyślone przez chemików ciało. Mówią, że niemożliwością jest życie bez niego. Głupstwa. Tylko bez pieniędzy nie można żyć.

**) Jest taki instrument.

(Uwagi tłumacza)



Zajęty jest obecnie zagadnieniem przewiercenia księżyca.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

WSPOMNIENIE o GDYNI

Ilustrował Kazimierz Mann



Trzeci był najdziwniejszy

Było trzech.

Jeden był góralem spod Nowego Sącza. Ale „seamanem" od lat. Studiował w szkole morskiej, pływał nawet jako oficer na angielskich statkach handlowych, był potem instruktorem żeglarskim, doskonałością w szyciu żagli, upragnieniem jacht klubów. Stał się ten góral postacią na wybrzeżu najbardziej znaną. Olbrzymi, szeroki chłop, w portkach z żeglarskiego płótna, w wyblakłym trykocie i do tego zawsze w oficerskiej czapce ze złotym haftem nad daszkiem, z bródką, którą wygładzał całą dłonią lub mierzwił, z bladoniebieskimi oczami cwaniaka, pełen najsprośniejszych polskich przekleństw, wspaniały opowiadacz — nie było nigdy ani cienia wątpliwości, że to on będzie kapitanem wielkiej wyprawy, która się szykowała.

Drugi był Polakiem amerykańskim, z New Yorku czy Bostonu. Niecierpliwie siedział w Gdyni już od roku, młody chłopak z długim chudym nosem i z niespodziewanie wielkimi rękami. Był tym, który z kilkoma zaoszczędzonymi setkami zainicjował całą awanturę — i nie odznaczył się poza tym, przynajmniej za mojej pamięci, niczym.

Trzeci był najdziwniejszy. Stolarz ze Starogardu, czterdziestoletni, dziobaty wdowiec z czarnymi lokami, spadającymi mu na czoło, człowiek który postanowił nieodwołalnie zasłużyć swą pracą przy naprawie jachtu na zaszczyt uczestnictwa w wyprawie i być wysadzonym po drodze — w Casablanca.

Było to więcej niż dziesięć lat temu, wczesnej jesieni. Jesienny Bałtyk miewał jeszcze niekiedy takie dni jak gdyby letnie, dni wygładzone i miękkie, ale już coraz częściej nadlatywały z północozachodu — nawet przy bezchmurnym niebie — mroźne wiatry i ostra grzywiasta fala.

Przyjechałem wtedy właśnie do Gdyni z rozmaitymi własnymi zamiarami, które zresztą nie były poparte niczym wystarczająco konkretnym. W rezultacie — wałęsałem się po prostu po nadbrzeżach portowych, popod kadłubami okrętów, czasem niemiło obryzgiwany falą, czasem spędzany na bok, gdy gdzieś szczególnie pośpiesznie ładowano, wałęsałem się, trochę jeszcze kalkulując chwilami, ale najczęściej już tylko raczej gapiąc się i marząc.

Spotkałem go na molo Wilsona, w przystani oficerskiego jacht-klubu. W cwaniackich oczach tyle odrazu uchwyciłem maskowanego nonszalancją, wspaniałego podniecenia, że ogarnął mnie już optymizm, zanim ten wielki, szeroki brodacz w kapitańskiej czapce zdążył coś powiedzieć.

— Panie! — rozpoczął, a oczy błysły mu jak wilkołakowi.

Zaczęliśmy iść w poprzek mola coraz szybszym marszem, a potem wzdłuż wybrzeża, przekraczając stalowe cumy okrętów, ku piaszczystej stoczni rybackiej. Opowiedział co i jak.

— Niedługo spuszczamy go na wodę, a do zimy będzie już gotów — zakończył.

I zaklął. I roześmiał się. Idąc, obaj powiewaliśmy na wietrze, on seamańską bródką, a ja polami płaszcza.

Za ogrodzeniem, na pochyłym obszarze piasków, płasko wchodzącym w morze, sterczały zrzadka, tu i ówdzie, rusztowania z paru belek, dźwigające mniejsze lub większe kadłuby okrętów rybackich. Nisko, przy samym piasku, rosły promieniście bladozielone osty. Brnęliśmy po tych ostach i po tym piasku. Podniesione do góry kadłuby były w rozmaitym stanie. Jedne, mocno sterane — w naprawie. Inne — właśnie w budowie, z poszyciem już lub bez, pachnące heblowinami i świeżą smołą.

Ten, który miał ponieść poprzez wszystkie morza trzech żeglarzy (a może i mnie — rozmyślałem cichaczem przez całą drogę, gdy brodacz w kapitańskiej czapce rozwodził się nad swymi planami tonem, w którym starał się o bezentuzjastyczną fachowość, a ja przeżywałem równocześnie najsprzeczniejsze dreszcze), stał podniesiony pomiędzy innymi, ale wyżej niż inne, z pękniętym kilem, obdrapany, ze strzaskaną burtą.

— Ale o bardzo jeszcze mocnych wręgach — chwalił go kapitan, gdyśmy doszli do drabiny, która, jak do arki Noego, wiodła na pokład.

Na pokładzie rozejrzałem się. Był to średnio duży kuter rybacki, przerabiany wyraźnie na „turystyczny" yoll. Przerabiany pracą trzech ludzi, których hipnotyzowało morze, tuż obok miarowo wzdychające, obiecujące zawsze monotonnym widnokręgiem rzeczy najgwałtowniejsze. Chłopakowi z New Yorku, stolarzowi ze Starogardu, i trzeciemu — żeglarzowi, góralowi spod Nowego Sącza..

Dwóch pierwszych poznałem, gdy „kapitan otworzył mi luk okienny (normalny wejściowy był właśnie chwilowo zatarasowany), przez który spadłem do środka.

We wnętrzu robota postąpiła już daleko. Całą towarową przestrzeń pod pokładem tego rybackiego kutra zmieniono na dwie kabiny i kuchnię. Na razie tylko w środkowej można było siedzieć. Toteż siedział tam chłopak z New Yorku i oglądał swoje wielkie ręce. Myśmy usiedli również. Siedząc tak we trzech na brzegach dwóch koi, które zawierała kajuta, wypełniliśmy całą przestrzeń, stykając się prawie kolanami. Było duszno, jak gdybyśmy byli już na morzu, i zapadał półmrok.

Tylna kabina zawalona była nowymi sprzętem. Przednią kabinę, najmniejszą, która miała być kuchnią, stolarz z czarną czupryną właśnie budował.

Wciśnięty w ciasnotę niby jakiś zaaferowany robak — przypiłowywał, pocił się, przystosowywał deskę do deski. Dwie ścianki były już gotowe. Niewiele mówił poprzez otwór. Raczej sapał. Chłopak, długi chudzielec z wielkimi rękami, czasem coś powolnie wtrącał.

Za to kapitan gadał! Wypełniał swadą wnętrze i tak już wypełnione nami po brzegi, opowiadał, śmiał się i klął. Nierzadko coś zanucił.

— Panie! — i uderzał mnie otwartą dłonią w kolano — czuć znowu kołysanie się pokładu pod nogami! Wieje piękny wiatr, tak a tak kombinujesz sobie pan z żaglami, grot, fok, bezan — wszystko mało, ponastawiasz różnych kliwerków, topsli, spinarków i jazda! Morze niebieskie, dziesięć węzłów odwalasz, jak nic, jacht leży na burcie, bruzda za nim jak za kontrtorpedowcem — tak wali, ster trzymasz w łapie, patrzysz na busolę i na horyzont i na żagle, albo leżysz na pokładzie brzuchem do góry, chwalisz wiatr, a słońce świeci jak głupie. Panie!

I z kolei, wodząc oczami po ścianach i pułapie, wpadał w fachowe roztrząsania, i zasypywał wskazówkami i przestrogami stolarza.

Zamieszkaliśmy we dwóch tam, w tym okręcie, jak gdyby w powietrzu nad piaskiem i ostami, parę metrów od powierzchni wodnej basenu portowego, kilkaset metrów od zatoki, kilkanaście mil od pełnego morza. Stolarz mieszkał gdzieś w jakimś hoteliku portowym, i obaj przychodzili jedynie dorywczo, parę razy w ciągu dnia, na robotę. Pracowali zresztą z efektem głównie tylko kapitan i stolarz. Amerykański chłopak zjawiał się raczej na krótko, a i wtedy poświęcał głównie czas dyskusjom nawigacyjnym lub po prostu milczącej, długonosej i wielkorękiej melancholii.

Za to jadaliśmy często wszyscy razem, we czterech. Wtedy w ciasnocie, między naszymi nogami zaczynał szumieć jeszcze prymus i buchała parą rybna zupa, bez cienia entuzjazmu przyjmowana zresztą przez nas z kucharzących rąk naszego góralskiego kapitana. Piłem ją kubkiem, zajadałem chlebem i pocieszałem się wizjami wspaniałych rzeczy, które będziemy jadali potem, na morzu — kiedy to już zaopatrzeni będziemy w prowiant bezcłowy.

Przed zmierzchem chodziliśmy na uroczyste gotowanie herbaty poza ogrodzenie stoczni — ku znajomemu szkunerowi, który stał na cumach zaraz za tym ogrodzeniem, przy wysokim nadbrzeżu. Ten szkuner towarowy tkwił tak opodal przez cały czas mojego pobytu i czekał zdaje się na remont. Na nadbrzeżu wzniesiono skleconą z paru desek zasłonę od wiatru i deszczu; i tam właśnie zawieszaliśmy — już w sześciu — wielki pełny sagan nad ogniem.

Szyper szkunera wypijał swoją filiżankę z dystynkcją. Był to wysoki ! zaokrąglony człowiek, zawsze w granatowym, dokładnie zapiętym stroju kapitana, zawsze w białym sztywnym kołnierzyku i czarnej krawatce, zawsze siedzący na brzeżku paki, którą mu podsuwano, zawsze w tej pozycji ze staromodną elegancją wyprostowany, trzymając filiżankę wysoko, blisko ust, delikatnie, w dwóch palcach.

Szósty przy ogniu i saganie, to człowiek, który stanowił w danej chwili całą załogę szkunera pod rozkazami dystyngowanego szypra. Ten nie był dystyngowany. Pochodził z okolic Brześcia nad Bugiem, mały, z kresową śpiewnością w głosie, ze zniszczoną, nieprawdopodobnie sprośną gębą — i w tym swym niesłychanym stroju... Do zwykłych płóciennych portek marynarskich nosił błękitną albo czarną bluzę, a głowę obwiązywał (lub pewnie obwiązał kiedyś raz na zawsze) — chustką czerwoną, jak płachta torreadora. Służył zresztą na statkach hiszpańskich czy portugalskich — ten wytatuowany po samą szyję, żylasty chuderlawiec z najlubieżniejszymi zawsze histryjkami do opowiedzenia. Gdy szyper po wypiciu swej filiżanki odchodził z grzeczną godnością na tle zachodzącego słońca ku miastu — pyskacz w chustce rozpuszczał już język jak umiał.

Pamiętam ich tam wszystkich. Długi chłopak z New Yorku, z rękami zawieszonymi poprzez kolana, patrzył w żółknące pozachodnie morze. Stolarz chichotał. A cóż „nasz" kapitan? Nasz kapitan zawsze przecież jednak dominował. Rozparty, wielki, szeroki, ze swoją bródką i bladoniebieskimi oczami, w czapce ze złotym haftem nad daszkiem — obierał sobie przy każdej sposobności lubieżnego pyskacza w czerwonej chustce za ofiarę najbardziej ciętych i morderczych drwin. Nie konkurował z nim w sprośnych opowiastkach. Ba, wszystko co ów mógł opowiedzieć ze swego choćby najbardziej awanturniczego, ale i jednostronnego życia majtka — nasz cwaniacki kapitan miał w jednym palcu!

Przechodził dzień za dniem na wybrzeżu w obliczu morza, w obliczu przyszłych — być może oceanów. Moim zadaniem, pod pilnym okiem kapitana, było uszczelnianie pokładu. Spaliśmy na dwóch przeciwległych kojach, nie rozbierając się w jesiennym chłodzie, na kojach tak ciasnych, że leżąc — czuło się końcem nosa lub ramieniem pułap kajuty. Z góry, przez luk okienny, budziło nas słońce lub pluskanie deszczu. Mnie budziły niekiedy piosenki kapitana. We dwóch wychodziliśmy od czasu do czasu na zatokę, w wietrzne przedpołudnia, na jednym z jachtów klubowych. Czasem zawadzaliśmy o pełne morze. Jesienna, zachodnia fala spychała z powrotem misterny półregatowy jachcik ku zatoce, jak gdyby był piórkiem. Raz czy dwa zabraliśmy naszego przyjaciela majtka ze szkunera. Emocjonujące to było widowisko, gdy ten lubieżny w każdej swej zmarszczce pyskacz, z łbem obwiązanym czerwoną płachtą, — przy sterze, wyciągając szyję ku kierunkowi, patrząc w odległość i wąchając wiatr, — poważniał, milkł, wyglądał się, nawet — przysięgam — piękniał.

Znałem tam w owych czasach takich właśnie: i zawodowych „matrosów" — bezczynnych, i awanturniczych romantyków — dla których morze mogło być tylko przygodą. Czy to nie dlatego — medytowałem kiedyś potem — że ci wszyscy byli tak bardzo poza nawiasem realnych szans życia?

Zasłońmy już ten cały obraz sprzed kilkunastu lat. Nie pojechałem na wszystkie morza jako jeszcze jeden w załodze tamtego małego okrętu, w którym mieszkałem nad piaskiem, ani nie doczekałem się nawet ukończenia go. Wyszli nim we trzech na Bałtyk, z busolą na kurs zachodni, parę miesięcy potem, zimą. W ciężkich pogodach, w ustawicznym sztormie, rozbili się zresztą na mieliznach Bornholmu. Ale wszyscy żyją.



Siedział tam chłopak z New Yorku i oglądał swoje wielkie ręce.

JAK PRACUJĄ ODDZIAŁY „SPOŁEM"

Oddział Powiatowy w Skierniewicach

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P. „Społem" w Skierniewicach, Rynek 6, powstał jeszcze za czasów okupacji niemieckiej. W czasie działań wojennych w styczniu 1945 r. Oddział i jego magazyny zostały rozbite i doszczętnie rozgrabione.

Zaraz po uwolnieniu Skierniewic spod hitlerowskiego jarzma, zaczęto ponownie oddział organizować, który już w maju 1945 r. był w pełnym biegu pracy.

W chwili obecnej Oddział zatrudnia 41 pracowników i zaopatruje 55 spółdzielni, rozsianych na terenie całego powiatu skierniewickiego i utrzymujących 71 sklepów.

Obroty Oddziału z 17 milionów złotych, jakie osiągnięto w 1945 r., podniosły się do 137 milionów złotych w 1946 roku, a w pierwszym kwartale roku bieżącego przekroczyły już kwotę 70 milionów złotych. Preliminarz budżetowy na rok 1947 przewiduje globalną sumę obrotów w wysokości 480 milionów złotych.

Poza działami: spożywczo-kolonialnym i włókienniczym, oddział prowadzi hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek i wyrobów tytoniowych.

Prawdziwą bolączką Oddziału są złe warunki magazynowe. Magazyny są zbyt szczupłe i nie przystosowane do potrzeb Oddziału, a przy tym rozrzucone są po całym mieście. Ostatnio wydzierżawiono na lat pięć plac od kolei. Na placu tym zostaną pobudowane nowe magazyny i skład materiałów budowlanych i opałowych.

Oddział znajduje się na drodze do dalszego, niczym nie skrępowanego rozwoju. Toteż w niedługim czasie stanie się placówką dominującą w powiecie. Ruch spółdzielczy w powiecie początkowo słaby, dziś rozwija się pomyślnie, pokrywając powiat coraz gęściejszą siecią swoich sklepów, pracujących na ogół z dodatnimi wynikami.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na politykę cen, prowadzoną przez Oddział. Stosuje się tu najniższą stopę kalkulacyjną przy stałym zwiększaniu obrotu. Toteż chociaż marża zysków Oddziału wynosi zaledwie od 3 do 10%, placówka przynosi dochody. Nie trzeba chyba dodawać, że przy tego rodzaju polityce Oddział jest faktycznym regulatorem cen na artykuły pierwszej potrzeby na miejscowym rynku.

Kierownictwo Oddziału od maja 1946 roku spoczywa w ręku ob. dyr. Olejniczaka, jednego z nielicznych weteranów pracy spółdzielczej, której służy już od lat 40. (s)

SPÓŁDZIELNIA OGRODNICZA I ZBIORU ROŚLIN LECZNICZYCH W KIELCACH

Czy to zioła lecznicze, czy to zbiór jagód, grzybów i innych płodów leśnych — to odcinki naszego gospodarstwa narodowego, które dotąd traktowane były po macoszemu, nie wywołując szerszego wśród społeczeństwa zainteresowania.

Ten zaniedbany odcinek pracy na terenie województwa kieleckiego, podjęła Spółdzielnia Ogrodnicza i Zbioru Roślin Leczniczych w Kielcach, ul. Sienkiewicza 62. Podjęła, by go należycie zorganizować i w sposób najbardziej dodatni dla naszego gospodarstwa wykorzystać.

Spółdzielnia istnieje od kwietnia 1945 r. i w chwili obecnej zrzesza 173 członków. Zadaniem jej jest podniesienie kultury ogrodnictwa i wychowanie nowych kadr pracowników w tej dziedzinie pracy.

W 1946 r. Spółdzielnia zdołała zakupić i rozprowadzić 80.000 kg jagód leśnych, 130.000 kg warzyw, 20.000 kg owoców oraz 3.000 kg ziół leczniczych (suszu).

Spółdzielnia prowadzi własną suszarnię warzyw, owoców i ziół, a jej zamierzeniem na rok bieżący jest uaktywnienie zbioru płodów leśnych, podniesienie warzywnictwa i zielarstwa oraz produkcja soków ziołowych i mieszanek ziołowych o charakterze leczniczym.

Nie trzeba chyba dodawać, że działalność Spółdzielni posiada poważne znaczenie dla naszego eksportu produktów lasu, sadownictwa i warzywnictwa. Działalność ta poza tym dodatnio wpłynąć może na podniesienie zdrowotności (zioła lecznicze) oraz podwyższenie skali zarobkowej naszej ludności wiejskiej, zwłaszcza na terenach szczególnie przez wojnę zniszczonych.

Spółdzielnia prowadzi sprzedaż hurtową płodów leśnych, warzyw, owoców oraz przetworów owocowo - warzywniczych.

Kierownikiem Spółdzielni jest p. dyr. Stanisław Tarczyński, który oddał tej pracy całe swoje bogate doświadczenie, co wróży tej placówce najdalej posunięte możliwości rozwojowe. (a)

Robotnicza Spółdzielnia Wytwórczo - Spółdzielcza „WYZWOLENIE" w Piotrkowie Trybunalskim

Zaczęło się od strajku szewców. Majstrowie wtedy nie chcieli zatrudnić tych działaczy związkowych, którzy najbardziej czynnie występowali w obronie praw robotniczych. Cóż wtedy było robić? Zgromadziło się 12-tu ludzi, a w tym 5-ciu fachowców. Razem zdołali wśród siebie zebrać 73 zł kapitału. Za te pieniądze wynajęli lokal, kupili stół, spluwaczkę i wieszak. Surowiec dostali na kredyt i zabrali się do roboty. Było to w styczniu 1938 r.

A dziś Robotnicza Spółdzielnia Wytwórczo - Szewska „Wyzwolenie" w Piotrkowie Tryb., pl. Czarnieckiego 7 (centrala), zrzesza 35 członków, zatrudnia 36 pracowników i prowadzi warsztat wytwórczy oraz trzy sklepy: dwa ze skórą, cholewkami i dodatkami szewskimi przy ul. ul.: Narutowicza 8 i Piłsudskiego 83 i jeden z obuwiem, pl. Czarnieckiego 7.

Kapitał obrotowy Spółdzielni wynosi 340.000.— zł, a jej majątek w surowcach i towarach przekracza 3 miliony zł. Byłby on znacznie większy, gdyby nie to, że w czasie ostatniej wojny mienie Spółdzielni uległo dwukrotnemu rozgrabieniu. Obroty Spółdzielni w styczniu r. b. osiągnęły kwotę 2.150.000.— zł.

Kierownictwo Spółdzielni spoczywa w ręku 3-osobowego Zarządu z ramienia którego prowadzi tę placówkę ob. Stefan Krupa, faktyczny jej inicjator, jeden z założycieli, któremu też Spółdzielnia zawdzięcza swój wspaniały rozwój. (a.).

Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Kielcach

Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Kielcach, ul. Leonarda 6, istnieje od 1919 r. W okresie działań wojennych Spółdzielnia poniosła duże straty, sięgające 2 milionów złotych przedwojennych.

Po wojnie Spółdzielnia wznowiła działalność, przystępując do remontu swoich zniszczonych sklepów, co pociąga za sobą znaczne wydatki, które w roku ubiegłym wynosiły 3 miliony złotych.

Obecnie Spółdzielnia prowadzi 30 sklepów (w tym 4 — branżowe) i piekarnię, zrzeszając 4.500 członków.

Mimo naprawdę trudnych warunków Spółdzielnia rozwija swoją działalność, wyrazem czego jest wzrost jej obrotów, które w styczniu r. ub. wynosiły 6.600.000.— zł, a w grudniu tegoż roku osiągnęły kwotę 36.000.000.— zł.

Największą bolączką Spółdzielni jest brak lokali sklepowych oraz brak źródeł zakupu towarów. Kwestię braku lokali Spółdzielnia rozwiązuje we własnym zakresie, dużym stosunkowo nakładem kosztów, remontując sklepy w uszkodzonych przez wojnę domach.

W okresie 3-letniego planu Spółdzielnia zamierza wybudować na własnym placu przy ul. Zagnańskiej: magazyny centralne, wytwórnię wód gazowych, rozlewnię piwa i octu, piekarnię mechaniczną o zdolności wypiekowej 15.000 kg chleba na dobę, masarnię, skład materiałów opałowych i własną bocznicę kolejową. Ogólny koszt tych robót wyniesie 100 milionów zł. (a.).

Spółdzielcze Stowarzyszenie Spożywców „PRACA" w Piotrkowie Trybunalskim

Spółdzielcze Stowarzyszenie Spożywców „Praca" w Piotrkowie Tryb., ul. Piłsudskiego 71 powstało 1919 r. Rozwijało się pomyślnie, co było przyczyną, że inne Spółdzielnie, istniejące na terenie miasta, stopniowo łączyły się z nim, by wspólnymi siłami osiągnąć lepsze w pracy rezultaty. W r. 1938 przyłączyła się Kooperatywa Nauczycielska, w r. 1926 — Spółdzielnia Robotników Chrześcijańskich, w r. 1928 — Robotnicza Spółdzielnia „Spójnia", a w 1930 — Kolejowa Spółdzielnia „Łączność".

Obecnie Spółdzielcze Stowarzyszenie Spożywców „Praca" zrzesza 3.153 członków, zatrudnia 82 pracowników i prowadzi: piekarnię, częściowo zmechanizowaną, warsztat masarski i — 24 sklepy, a w tym 16 — spożywczych, 2 — masarskie, 1 — tytoniowo-wódczany i 5 — wódczanych. Własny tabor Stowarzyszenia składa się z 3 koni i 6 wozów.

Fundusze własne Stowarzyszenia wynoszą 1.085.000.— zł, a obroty w roku ubiegłym dały 164.350.000.— zł.

Jeszcze w tym roku Zarząd Stowarzyszenia zamierza uruchomić sklep włókienniczy.

Kierownictwo Stowarzyszenia dzierży 3-osobowy Zarząd w składzie ob. ob.: Jana Grabowskiego, Tomasza Podgórskiego i Władysława Szwajkowskiego. (a.).

Pierwszy Sejmik Spółdzielczy w Wielkopolsce

Rady Oddziałowe „Społem" w trosce o rozwój spółdzielczości

W okresie przedświątecznym odbyła się w Poznaniu pierwsza wojewódzka konferencja Prezydiów Rad Oddziałowych.

Konferencję otworzył delegat „Społem" na woj. poznańskie dyr. Andruszkiewicz, witając dyr. Dominko i dyr. Niczmana z centrali „Społem" z Warszawy, oraz licznie przybyłych gości i liczne reprezentowaną prasę.

Trzeba zaznaczyć, że Poznańskie było pierwsze w Polsce, gdzie odbyły się wybory do Rad Oddziałowych. Konferencja więc miała poniekąd historyczny, uroczysty charakter, a cechował ją wysoki poziom blisko pięciogodzinnych obrad.

W obradach uczestniczyło 250 delegatów. Był to zatem niejako pierwszy sejmik wielkopolskiej spółdzielczości.

Na zjazd ten prezes „Społem" ob. Jan Żerkowski, nie mogąc przybyć osobiście, nadesłał powitalne pozdrowienie, przyjęte przez zgromadzonych długotrwałymi oklaskami.

Dyrektor Dominko w przeszło godzinnym przemówieniu zobrazował dorobek spółdzielczości polskiej.

— Moim zadaniem — mówił dyr. Dominko — jest dziś porozumieć się z kolegami w sprawach zasadniczych. Wciąż jeszcze bowiem żyjemy w okresie budowy Polski Ludowej. Niech nam się nie zdaje, że ruch ten został już ustalony. Prawda, dokonaliśmy bardzo wielu rzeczy nowych, prawda, że w zakresie demokratyzacji życia dokonaliśmy bardzo wiele, bo utrwaliliśmy wpływ mas pracujących na życie polityczne kraju, jednak w tych dziedzinach życia, w których spółdzielczość miała dominować, są jeszcze luki.

Następnie referat wygłosił ob. Władysław Dawor, kierownik okręgowego Instruktoriatu „Społem" na woj. poznańskie.

Z wywodów referenta wynika, że „Społem" w Wielkopolsce posiada 593 spółdzielnie i 35 zorganizowanych Rad Oddziałowych, że pod względem obrotów „Społem" Poznańskie wysuwa się na przodujące miejsce swymi 10 miliardami obrotu rocznego.

Na mównicy zajmuje miejsce dyr. Niczman, omawiając zadania rad pod kątem widzenia praktycznym i wyciągając stąd wnioski.

Rola Rad Oddziałowych jest szczególnie doniosła, gdyż właściwie one, jako wyrazicielki życzeń mas, są gospodarzami terenu i jako takie doprowadzić muszą do umasowienia całego ruchu spółdzielczego.

Toteż bardzo trafnie, w zakończeniu sejmiku spółdzielczego całość obrad scharakteryzował przewodniczący tymi prostymi słowy: Stwierdzam, że dzień dzisiejszy spędziliśmy dobrze.

Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa „Wspólna Praca" w Kutnie

Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa „Wspólna Praca" w Kutnie powstała we wrześniu 1918 r. Spółdzielnia zrzesza ponad 4.000 członków i zatrudnia 300 pracowników, prowadząc oddział w Krośniewicach i 4 sklepy w Kutnie.

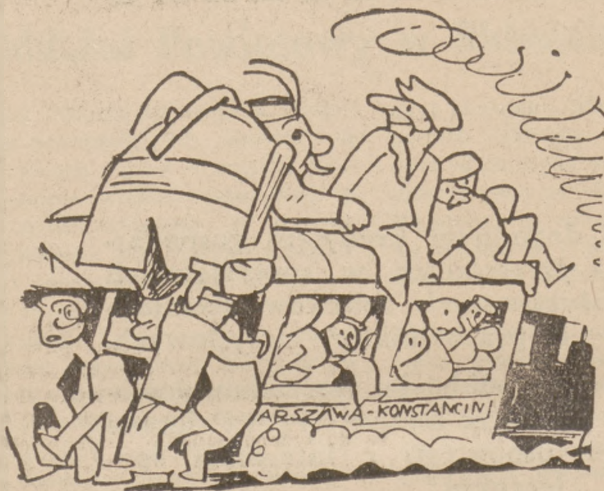
Spółdzielnia prowadzi: jeden z największych w Polsce młynów, zmechanizowany elewator zbożowy, własne plantacje nasion i warzyw ze stacją badania siły kiełkowania nasion, czyszczalnię zbóż i nasion, suszarnię drobiu oraz działy: zielarski, skupu zwierząt rzeźnych i hodowlanych, skupu skór surowych i futerkowych, budownictwa wiejskiego i materiałów budowlanych, środków ochrony roślin, maszyn i narzędzi rolniczych, ogrodniczych i pszczelarskich. Ponadto Spółdzielnia prowadzi stolarnię mechaniczną, produkującą stolarkę budowlaną.

Obroty Spółdzielni wynoszą przeciętnie 35 — 45 milionów złotych miesięcznie, z czego 85% przypada na obroty z członkami.

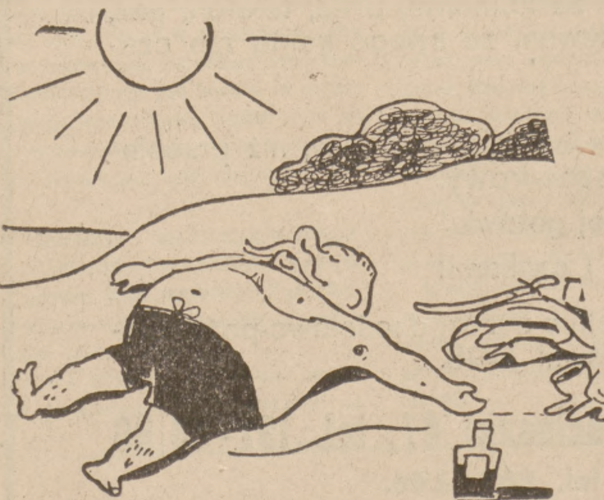
Kierownictwo Spółdzielni od chwili jej powstania po dzień dzisiejszy spoczywa w ręku dyr. Stefana Jóźwiaka, syna rolnika z pow. kutnowskiego, założyciela Spółdzielni. (a.).

PRZYGODY ZAGŁOBY

Na łonie natury



— Posuńcie się, waszmościowie! Ja też pragnę odbyć wycieczkę dla przyjemności.



— Cudne słoneczko grzeszne cielsko całuje... Wiosenne powietrze rozbiera, senność oczy skleja...



— Do wszystkich diabłów, gdzie jest Zagłoba? Numer idzie do druku, a jego przygody nie ma!



— Panie Zet, jak pan wygląda? I gdzie jest pański przygoda?
— Wybacz mości redaktorze, ale podczas gdym usną ktoś przyodziewek mi zabrał. Tak, jak wyglądam, pokazać się ludziom nie mogę, toteż w tym numerze mojej przygody nie będzie.

BAJECZKI

dla dużych dzieci

JANUSZ ODROWĄŻ

O deszczyku

Pan Józio i pani Józiowa siedzieli przy oknie. Małe Józiątko bawiło się puszkami UNRRA. Kanarek śpiewał. Radio grało.

— Ach, jak przyjemnie! — rzekł pan Józio. — Nasze przydziałowe mieszkanko to wielki los na loterii.

— A propos loterii—uśmiechnęła się pani Józiowa. — Miałam sen, że wygramy. Jak to dobrze, kochanie, że kupiłeś aż dwa całe losy!

— Za twoją namową, najdroższa. W nagrodę wiesz co zrobię? Zaraz dam ci na te zamszowe pantofle, które widzieliśmy na Brackiej.

— Naprawdę? Ale to jednak duży wydatek...

— Nie szkodzi. Mam dostać podwyżkę, wszystko idzie ku lepszemu...

— Jakiś ty kochany! I w ogóle, Józiu, dobrze nam z sobą, prawda?

Pan Józio czule panią Józiową przytulił.

•

A wysoko, wysoko, na małej, szarej chmurce siedział sobie deszcz.

Siedział i nudził się.

Spojrzał na prawo — pustka. Spojrzał na lewo — to samo. Nawet ziewnąć nie można, bo nie ma czym.

Rozpacz. Nuda. Bezczynność.

— Chyba zacznę padać, czy co? — pomyślał.

I zaczął.

•

Speaker w radio zakrztusił się, potem powiedział, że jest godzina 18.43, a potem, że przeprasza, nie 18.43, tylko 17.42. Kanarek zamilkł.

— No? — mruknęła Józiowa.

— Co? — burknął Józio. — Cholerne mieszkanie, niby to dzień, a liter w gazecie nie widać.

— Nie zawracaj mi głowy gazetą. Obiecałeś dać i nie dajesz.

— Na buty? Dam, dam, ale nie teraz.

— A kiedy?

— Muszę się dobrze obliczyć. Namówiłaś mnie na dwa losy loterii, guzik wygramy, a parę złotych pękło. Zresztą czy ty wiesz, ile ja wydaję, a ile zarabiam?

— Mówiłeś, że masz dostać podwyżkę.

— To jeszcze kijem na wodzie pisane. W ogóle... Ej, co tam się dzieje? Przestaniesz ty, szczeniaku, brzękać puszkami? Nie umiesz się bawić spokojnie? Gdzie pas? Gdzie jest pas?!

— Zostaw dziecko, bałwanie — rzekła pani Józiowa, spoglądając na pana Józia tym okiem co na psa.

Deszcz padał.

POETA



1.000 lat temu.



100 lat temu.



Dziś.



Za sto lat.

Szczeble kariery



KĄCIK FILATELISTYCZNY



W Związku Radzieckim wyszła seria, składająca się z szesnastu wartości o jednakowym nominale 30 kopiejek, poświęcona herbom poszczególnych republik. Na znaczkach tych więc widzimy insygnia Armenii (brunatno-czerwony), Azerbejdżanu (brunatno-oliwkowy) i Białorusi (zielony), Estni (szaro-fioletowy), Gruzji (brunatno-czerwony), Fińskiej Karelii (brunatno-fioletowy), Kazakstanu (czerwono-pomarańczowy), Kirgizji (ciemno-fioletowy), Litwy (czarno-szary), Łotwy (różowo-brunatny), Mołdawii (lila), Tadikiesu (ciemno-zielony), Turkmeństanu (brunatno-czarny), Ukrainy (niebieski), Uzbeku (brunatny) i wreszcie całego Związku (czerwony). Z dostarczonej nam przez Biuro Filatelistycznej T. Gryżewski Łódź, Piotrkowska 47 z serii reprodukujemy znaczki litewskiej SRR.

Węgry w dniu 5 marca wydały nową serię znaczków lotniczych: 10 fil. (bordo — wieża przyjaźni w Sopronie), 20 fil. (zielono-szary — Bazylika w Esztergon), 50 fil. (brunatno-różowy — świeżo odbudowany most wolności w Budapeszcie), 70 fil. (zielono-oliwkowy— pałac Lilafured), 1 for (niebieski — zamek Wajdahunjad), 1,40 for (brunatny— zamek w Visegradzie), 3 for (zielony — jezioro w Balatonie), 5 for (lila — gmach Parlamentu) oraz 10, 20, 50 forintów, z ośmiu wartości składa się nowa seria portretowa 10, 20, 50, 70 filenów 1,40, 3 i 5 forintów.

W Bułgarii wyszła nowa seria Czerwonego Krzyża: 2 l. (sieroty wojenne), 4 l. (ranny żołnierz), 10 l. (sieroty), 20 l. (ranny), 30 l. (chory żołnierz z pielęgniarką, 35 l. (pociąg sanitarny), 50 l (ranny), 100 l. (pociąg).

Jugosławia przedrukowała serię znaczków opłaty, dopłaty i służbowych z nowymi wartościami we włoskiej walucie i napisem „Vojna Uprawa Jugoslovenske Armije" dla swojej strefy okupacyjnej w Trieście. W serii tej mamy wartości: opłaty 1,50, 3, 6, 15 i 50 lirów, dopłaty 1, 2, 5, 10 i 35 lirów i służbowe 1,22, 6, 10 i 30 lirów.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa. Smolna 12 B-30380

WYNIKI III KONKURSU „TYGODNIA"
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W wyniku losowania nagrody książkowe otrzymali:

Janiewicz Janusz — Sosnowiec, Żymierskiego 48 m. 6
Dobruccy Mirosława i Ryszard — Świder, ul. Majowa 12
Rydel Mieczysław — Łódź, ul. Roosevelta 18 (ZUS)
Walczyński Stanisław — Częstochowa, ul. Najświętszej Marii Panny 7 m..7
Salm Irena —Łódź, ul. Mostowa 5
Zalewska Wanda — Warszawa, ul. Białołęcka 27 m. 5
Dziewanowska Bronisława — Otwock, skrzynka pocztowa 21
Bielski Leonard — Ruda Pabianicka, ul Mickiewicza 18
Kamiński Stanisław — Józefów k/Błonia, cukrownia
Grójnacki Erazm — Warszawa, Mickiewicza 27 m. 128
Miałkowski Romuald — Zgierz, ul. Dąbrowskiego 6
dr Wandokanty Fraciszek — Wrocław, ul. Piastowska 47 m. 11
dr Kaszubski Stanisław — Otwock, ul. Żeromskiego 4
Świderski Edmund — Łódź, ul. Abramowskiego 1 m. 3
Turek Jan — Kraków, ul. Grzegórzecka 8 m. 5
Kamiński Lech — Warszawa, Narutowicza 5 m. 267.
Lubnar Władysław — Zgierz, ul. Szczęśliwa 1
Kamiński Stanisław—Józefów k/Błonia, cukrownia
Gładyszówna Maria — Kraków, ul. Lubomirskiego 3 m. 15
Jaszczyszyn Eugenia — Strzelce Opolskie, ul. Fabryczna 22
Walczak Bogdan — Kraków, ul. Retoryka 18 m. 8
Biernacki Zdzisław — Częstochowa, ul. Mickiewicza 40 m. 3
Konecka Jadwiga — Włochy k/Warszawy, ul. Huzarska 5 m. 4
Drobniak N. — Kraków, ul. Kotlarska 6
Nowicki Witold — Radość, Al. 3-go Maja 10
Skurczyński Piotr — Częstochowa, Al. Wolności 11
Sawicki Ludwik — Kraków, ul. Tatarska 11 m. 5
Zaborowski Czesław — Chełmża, ul. Strzelecka 5
Sochacki Waldemar — Łódź, ul. Daszyńskiego 25 m. 49
Rafińska Anna — Katowice, ul. Plebiscytowa 26 m. 6

Prenumeratę kwartalną „Tygodnia" otrzymali:

Slesiński Jerzy — Kraków, ul. Basztowa 10 Liga Morska
Kłosowicz Maria — Katowice - Ligota, ul. Poleska 16
Pawłowski Jerzy — Kraków, ul. Zamkowa 16 m. 10
Szumerowska Halina — Sosnowiec, ul. Lwowska 3 m. 57
Olszewski W. — Osięciny
Braumannowa Halina — Gorlice, ul. 3 Maja 18
Radomski Gustaw — Gdynia, ul. Morska 83 (Państwowa Szkoła Morska)
Nowicki Wiesław — Warszawa, ul. Lindleya 14 (Izba Skarbowa)
Radomski W. — Łódź, ul. Jaracza 82 m. 46
Rudkowski Lech — Bydgoszcz, ul. Paderewskiego 16 m. 8
Grabowska Zofia — Wyszogród n. Wisłą.
Kobylarz Genowefa — Łódź, ul. Dowborczyków 23 m. 13
Tutejowa Czesława — Zakopane, ul. Strążyska 274
Janowski Ignacy — Łódź, ul. Piotrkowska 25 m. 47
Chybiński Eugieniusz — Kraków, Stadsów, Dworzec 5
Szczudłowski Tadeusz — Lublin, ul. Szopena 9
Fischbach Zdzisław — Września Wlkp., ul. Sienkiewicza 20
Dąbkowski Mieczysław — Gdańsk - Wrzeszcz, ul. Kossaka 7 m. 6
Bydłowska Danuta — Miłosław, pow. Września, ul. Wrzesińska 12a
Niemcowa Dorota — Bielsko, ul. Ziełona 10 m. 4
Grabska Zofia — Łódź, ul. Brzeżna 16 m. 3

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą. Jednocześnie zawiadamiamy wszystkich zwolenników rozrywek umysłowych, że w najbliższym czasie reaktywowany zostanie Polski Klub Szaradzistów, który niewątpliwie skupi wszystkich miłośników tych rozrywek i przyczyni się do podniesienia poziomu zadań. Bliższe szczegóły dotyczące Polskiego Klubu Szaradzistów podamy w „Tygodniu" w miarę jak projekty organizatorów zostaną zrealizowane.

V KONKURS „TYGODNIA"
na rozrywki umysłowe

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród – prenumerata kwartalna „ Tygodnia".

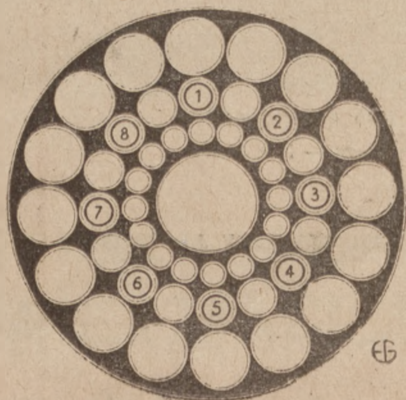
Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez czytelników przyznane będą wartościowe nagrody. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczonych zadań jeszcze bardziej podniesie się.

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów poziomych:

1. Herb polski. 5. Zygzakowata ścieżka górska. 10. Kraj w Arabii. 11. Niezręczny postępek. 12. Podzwrotnikowa roślina oleista. 14. Ssak z rzędu nieparzystokopytnych. 15. Naczynie liturg. wspak. 17. Zasłona z ciężkiej tkaniny. 18. Regulator. 20. Przylądek w Grecji. 21. Rasa psa. 22. Wielki głaz nieobrobiony. 25. Część składowa przyrządów spektralnych. 28. Jezioro w Finlandii. 30. Mierzeja. 32. Osobno, bez zaprzęgu. 33. Legendarny założyciel Rzymu. 34. Część modlitwy. 35. Siódme wcielenie boga Wisznu. 36. Wyspa na morzu Śródziemnym. 37. Francuski taniec XV wieku.



Znaczenie wyrazów pionowych:

1. Wiano. 2. Znak, wróżba. 3. Społem. 4. Badacz budowy ciał organicznych. 6. Starożytny tragediopisarz grecki. 7. Przyprawa kuchenna. 8. Biblijna kraina bogactw. 9. Bankier w Turcji. 13. Gatunek perkalu. 14. Całkiem, zupełnie. 16. Roślina z rodziny psiankowatych 17. Kapłan zakładu wychowawczego 19. Miasto w Polsce. 22. Chwila, mgnienie oka. 23. Zapaśnik w walkach byków. 24. Religia mahometańska. 25. Malarz z czasów Stanisława Augusta. 26 Piękny koń wierzchowy. 27. Główny śpiewak w synagodze. 29. Miasto w Turyngii. 31. Substancja roślinna kleista.

Erazm Grójnacki

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał pan „r" za wyjątki z artykułu swego pt. „Jak pracuje Państwowy Instytut Meteorologiczny", ogłoszonego w „Polsce Zbrojnej" (Nr 90/688).

Pracuje tu cały sztab uczonych meteorologów. Cztery razy na dobę odbiera się depesze z Łodzi, która komunikuje wiadomości meteorologiczne, zebrane z całego kraju... Na podstawie danych, zawartych w depeszach, sporządza się mapy synoptyczne, które służą do przepowiadania (?) na najbliższą przyszłość pogody... Koncentryczne krzywe, tzw. izobary łączą miejscowości o jednakowym ciśnieniu atmosferycznym. Mają one decydujące znaczenie przy przepowiedniach (?)... Szereg meteorologów pracuje w ciszy i skupieniu nad mapami... Systematyczne studia map synoptycznych prowadzą do tego, że w umyśle meteorologa wytwarza się pewien schemat ogólny, na zasadzie którego przewiduje on skłonność izobarów do przyjęcia tej czy innej postaci...

Teraz wiemy, dlaczego „przepowiednie" pogody nie sprawdzają się, jak się nie sprawdzają np. przepowiednie Pari-Banu. Nad mapami pracuje szereg meteorologów. W umyśle każdego z nich wytwarza się pewien schemat, na podstawie którego można przewidzieć, co zrobią izobary. Wobec tego, że nie ma dwóch jednakowych umysłów ludzkich, schematy się nie zgadzają, każdy meteorolog przepowiada po swojemu, a pogoda robi swoje.

NAJDROŻSZA POTRAWA

...Jeśli już mowa o cenach potraw, najdroższą chyba potrawą jest serce lwa. W Stanach Zjednoczonych jada się je sprowadzane w konserwach z Południowej Afryki. Cena dochodzi do tysiąca dolarów („Echo Południa" Nr 247).

Za co? Za całe serce, za kilo, za puszkę, za 10 deka — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, dlaczego nie założono w Stanach Zjednoczonych (Amerykanie mogą sobie na wszystko pozwolić) specjalnej hodowli lwów południowo-afrykańskich, aby wytwarzać na miejscu rzeczone konserwy. Tamtejsi smakosze są zdania, że lwy, urodzone w klimacie amerykańskim, tracą bardzo na smaku.

CUDOWNE DZIECKO

W „Świerszczyku" z dn. 4.III znajdujemy wierszyk o krasnoludku, którego autorem jest mały Henio z Białegostoku, uczeń kl. I szkoły powszechnej, a więc dziecię siedmioletnie:

Szedł sobie krasnoludek
przez uliczkę, przez ogródek.
Główką kiwał,
przyśpiewywał.
Na główce czapeczka,
a na niej wstążeczka.
Na plecach żupanik,
a pod nim kaftanik.
Majteczki czerwone,
pończoszki zielone,
na nóżkach chodaki
i sam maleńki taki.

Rytmika, wersyfikacja, interpunkcja, ortografia — wszystko non plus ultra. Gdyby król Batory żył, rzekłby do chłopięcia: disce, puer, disce, ego te faciam redactorem Świerszczykis.

ZNAK CZASU

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej w Manhattan dodało do swych zbiorów gipsowy odlew prawej pięści czarnego mistrza świata Louisa („Przegląd Sportowy" Nr 59).

Za lat sto rodzice będą pokazywali dzieciom ten zabytek historyczny, mówiąc: patrzcie dzieci,co czcili nasi dzicy przodkowie w wieku XX.

Stefania Grodzieńska

ODCZYTY W ZWIĄZKU STANOWCZYCH MĘŻATEK

JAK ZUŻYTKOWAĆ MĘŻA W CZASIE PODRÓŻY

Podróż, drogie panie, daje liczne okazje do zastosowania męża, lecz czynić to należy umiarkowanie i umiejętnie. Temu właśnie zagadnieniu poświęcam dzisiejszą pogadankę.

W jakim celu zabiera się męża w podróż? Przede wszystkim w celu przeniesienia z miejsca na miejsce bagażu. Bagażowi, zwłaszcza w obecnej niepewnej porze roku, trzeba poświęcić dużo uwagi. Przypuśćmy, że jedziemy na dwa dni z Łodzi do Warszawy. Dajmy na to, że w chwili wyruszenia z Łodzi jest bardzo ciepło. Ale któż nam zagwarantuje, że jutro nie będzie zimno? Znamy wypadki, gdy w maju padał śnieg. Toteż Kobieta Przewidująca zabiera ze sobą w podróż: futro i kapce na wypadek nagłego powrotu mrozów; sukienkę jedwabną w ciapki i słomkowy kapelusz na wypadek niespodziewanego upału; jesionkę na wypadek pogody ani w te ani we wte; gumowy płaszcz na wypadek ulewy względnie gradobicia; wreszcie coś ładnego, żeby miała co na siebie włożyć. Teraz już wiemy, że żadna zmiana atmosferyczna nie jest w stanie nas zaskoczyć w ciągu dwóch dni pobytu w obcym mieście i spokojnie wyruszamy w podróż, przymocowawszy do męża dwie walizy, torbę z kapeluszami, parasol i futro luzem.

Jeżeli wybieramy się autobusem, posyłamy męża dzień przedtem po bilety. Dzięki temu podczas wsiadania do autobusu mamy okazję do wygłoszenia zdania: „Czegoś się śpieszył z kupnem biletów, kiedy mogłeś to załatwić teraz? Jakbyś był z głębokiej prowincji. Ach, kiedyż ty się nauczysz podróżować po europejsku!” Jeśli mąż biletów poprzedniego dnia nie wykupił, doskonale się składa, gdyż mówimy wtedy: „Nie mogłeś wcześniej kupić biletów, tylko teraz stać w kolejce. Jakbyś był z głębokiej prowincji.. Ach, kiedyż ty się nauczysz podróżować po europejsku!”

Jeśli przybyliśmy na stację autobusową w ostatniej chwili, mówimy do męża: „O małośmy się przez ciebie nie spóźnili. Na zachodzie każdy przychodzi na czas. To tylko u nas.” Jeśli jest jeszcze dużo czasu: ”Jeszczebyśmy zdążyli pójść do domu i wrócić. Na zachodzie każdy przychodzi w ostatniej chwili. To tylko u nas.”

Po wejściu do autobusu zmuszamy męża, aby wybrał miejsce. Jeśli miejsce jest przy oknie, zwracamy uwagę, że wieje. Jeśli obok przejścia, narzekamy, że nie ma się o co oprzeć. Jeśli w przedniej części wozu — boimy się żaru od motoru. Jeśli w tylnej — to trzęsie. Poza tym miejsce nie może być tyłem do kierunku jazdy ani nad kołem. Jeśli jednak takie tylko miejsce jest wolne, wykorzystujemy je jako przedmiot rozmowy.

Podaję schemat orientacyjny takiej rozmowy.

My: Czemuś wybrał takie trzęsące miejsce?

Mąż: Ja nie wybierałem. Sama usiadłaś na trzęsącym miejscu.

My: To dlaczego mnie nie ostrzegłeś że tu trzęsie?

Mąż: Skąd ja mogłem wiedzieć, że tu trzęsie?

My: No jakto, skąd mogłeś wiedzieć. Przecież siedzę na kole. Wiadomo, że na kole najwięcej trzęsie.

Mąż: Jak wiedziałaś, że na kole najwięcej trzęsie, to dlaczego usiadłaś na kole?

My: Przestań mi robić wymówki. Mało że mnie trzęsie, to ty mi jeszcze robisz wymówki. Jak ci nie wstyd.

Na tym możemy zakończyć dyskusję, względnie prowadzić ją dalej, jeżeli nas za bardzo nie trzęsie.

Podróż jednak trwa przeszło trzy godziny i nic nam nie jest w stanie przeszkodzić, abyśmy je racjonalnie wykorzystali. Po krótkiej przerwie napoczynamy więc nowy temat: „Nie mam gdzie nóg podziać. Posadziłeś mnie akurat na takim miejscu, gdzie nie ma co robić z nogami. Zamień się ze mną miejscem.” Mąż, o ile go znamy, wyskoczy na to jak Filip z Konopi: „Kiedy ci proponowałem, żebyś tu usiadła, to mówiłaś, że wolisz przy oknie.” Nie zwracamy uwagi na ten niezdrowy odruch buntu i przenosimy męża na swoje miejsce. Po zmianie miejsc prosimy o papierosa. Potem o ogień. Następnie o gazetę. Po chwili oddajemy gazetę i prosimy o książkę. W międzyczasie gaśnie nam papieros, więc żądamy ognia. Po wypaleniu papierosa odczuwamy głód i polecamy dać sobie kanapkę. Kanapki są w walizce na końcu autobusu.Mąż przepycha się przez cały autobus, otwiera walizkę, grzebie w niej przez dłuższy czas, zamyka ją i przepycha się z powrotem. Przez ten czas odchciewa nam się jeść.

W braku innego tematu możemy teraz znów zahaczyć o sprawę miejsca, na którym siedzimy. — „Strasznie niewygodne miejsce” — mówimy z wdziękiem, — o ile przyjemniej byłoby siedzieć przy oknie.” — „Przecież zamieniłaś się ze mną, bo tu trzęsie” — wysysa z palca mąż. Prostujemy to z miejsca. — „Zamieniłam się, żebyś sobie popatrzył przez okno. Ale jeśli cię trzęsie to ja tam usiądę.” Po czym z pełną poświęcenia miną odstawiamy męża na pierwotne miejsce, kontynuując jednak rozmowę o braku granic, których by sięgało nasze poświęcenie dla męża. Jeśli rozmowę tę przerwiemy na chwilę, posyłając męża do walizki po jabłko, a potem urozmaicimy ją przerażającymi wizjami bałaganu, który przy puszczalnie powstał w walizce z winy znanej nam niezręczności męża, to możemy uważać męża za całkowicie skruszałego i już bez większych trudności pokierujemy nim dla jego dobra w czasie pobytu w obcym mieście.

Na Marszałkowskiej jest ładny sklep z torbami. Widziałam też na jakiejś wystawie perlony. Obiecujemy mężowi, że z powrotem będziemy wracać oddzielnie.



— Wiesz, byłam wczoraj na okropnej akademii ku czci Wyspiańskiego, tego, co napisał „Balladynę”.
— Przecież Wyspiański wcale nie napisał „Balladyny”.
— No właśnie, to po cóż ta akademia! Rys. Ha-ga

WALERY BRIUSOW

Kindżał

Wyrwany z pochwy nóż — wam w oczy jego blask
Jako w minione dni, toczony lśni i ostry.
Poeta z ludźmi — tam, gdzie burzy grom i trzask
I burza z pieśnią — wieczne siostry.

Kiedym nie widział w was mocy, ni hartu, gdy
W milczeniu szły pod jarzmo karki wasze,
Schodziłem w mrok, w milczące wieków mgły,
W stulecia tajemniczo zaszłe.

Jak ja nienawidziłem! jak budził we mnie gniew
Nikczemny życia bieg i małość i brzydota,
Lecz miałem śmiech dla walki, gdy jej zew
Lękliwe o mnie dźwięki otarł.

Alem zaledwie dziś usłyszał surmy zew,
Ledwie nad głową mą sztandarów szum zapłonął,
Ja rzucam odzew wam — do walki strojąc śpiew,
Wtórując gromom nieboskłonu.

Poezji kindżał lśni! Piorunu krwawy ślad,
Jak dawniej spłynął znów po jego wiernej stali —
I otom z ludźmi znów, żem pieśniarz — i że świat
Błyskawic blask podpalił!

Przełożył MIECZYSŁAW JASTRUN